

---

*Galitz Cathleen*

---

---

*Dynastia Danforthów 06*

---

*Powiedz to wreszcie*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Heather Burroughs stała w drzwiach olbrzymiego salonu w rezydencji swojego nowego szefa i nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła i usłyszała.

Kiedy nikt nie odpowiedział, gdy oznajmiła swe przybycie, nieproszona wkroczyła do domu. Szła, kierując się grzmiącym głosem (czyżby została zatrudniona przez potwora?), aż znalazła jego właściciela. Był wyjątkowo przystojny, co chwilowo uśmierzyło jej obawy.

W tej chwili droczył się z dzieckiem. Nie chciał mu oddać ciasteczka.

- Powiedz to, Dylan - przekonywał chłopca.

Był tak zaaferowany, że wydawał się zupełnie nieświadomy obecności Heather. Około trzyletni malec wyciągnął pulchną rączkę po przynętę dyndającą mu przed nosem. Co zbliżał palec, słodki przysmak ulatywał jak zaczarowany. W oczach o kształcie i kolorze takim samym jak u dręczyciela, stanęły łzy. Spłynęły po rumianych policzkach i spowodowały, że potwór niewyraźnie wymamrotał pod nosem coś, co przypominało przekleństwo.

- No dalej, Dylan. Powiedz to wreszcie! Heather dobrze wiedziała, co czuje chłopiec, i nie była w stanie przyglądać się, jak jej nowy pracodawca podle bawi się jego kosztem, nawet jeśli miałyby stracić wymarzoną pracę pierwszego dnia. A ta praca oznaczała samodzielność finansową. Odżegnywała groźbę, że wyląduje pod mostem.

- Proszę mi to dać!

Heather wmaszerowała do pokoju i nie zwracając uwagi na zaskoczony wzrok szefa, wyjęła mu z rąk ciasteczko. Nachyliła się nad chłopczykiem, mankietem otarła mu łzy i podała ciasteczko. Dylan wziął je w rączki i spojrzał z wdzięcznością, a potem w całości wepchnął słodką rozkosz do buzi, żeby ojciec nie skonfiskował reszty. Uśmiechnął się do Heather szeroko, a małą twarzyczkę oblepiała czekolada. Tylko to

powstrzymało nianię od pochwylenia malca na ręce i ucieczki.

- Za kogo się pani uważa? I co pani, do diabła, wyprawia? - warknął Tobias Danforth.

Przypatrywał się jej, przykucając na podłodze. Jego dżinsy szczególnie ciasno opinały uda. Gdy wstał, gwałtownie wyrósł nad drobną Heather i popatrzył na nią z wysoka. Była od niego niższa co najmniej o półtorej głowy. Czuła się jak Dawid przy Goliacie. Tyle, że bez procy.

Zamiast biadolić nad swą mikrą posturą, dawno już nauczyła się królewskiego tonu, co okazało się nad wyraz przydatne. Tym właśnie tonem odpowiedziała, teraz, całkowicie ignorując fakt, że występuje tu nie w roli monarchini, ale nic nieznaczącej podwładnej.

- Jestem zatrudnioną przez agencję opiekunką i właśnie przerwałam panu drażnienie się z dzieckiem. Panie Danforth, na wypadek, gdyby nie był pan tego świadom, informuję, że Dylan jest dzieckiem, a nie tresowanym zwierzęciem, nagradzanym ciasteczkami dla piesków.

- Jak pani śmie...

- Śmiej, bo mi zależy: - Wojowniczo wysunęła podbródek.

Przyszpilił ją lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu. Ale jeśli myślał, że Heather Burroughs jest tchórzem, to się mylił. Cierpliwie zniosła lata tortur z najbardziej sadystycznym nauczycielem muzyki na świecie i żeby zmusić ją do odejścia, trzeba było czegoś więcej niż imponująca postawa.

- A pani myśli, że mi nie zależy? - spytał z irytacją. Ręce oparła na biodrach i stanęła pewniej, choć trzeba przyznać, że nogi lekko jej drżały.

- Wątpię, czy opieka społeczna pochwali pana metody wychowawcze - odpowiedziała zadowolona z perfekcyjnie wyszkolonego głosu, niegdyś drżącego w chwilach stresu.

- Proszę wyjść z mojego domu.

Słowa te, choć wypowiedziane tak miękko, że dziecko stojące pomiędzy szefem a niedoszłą nianią nawet nie drgnęło, sprawiły Heather ból.

Jakim cudem po dwudziestu pięciu latach życia w uległości w końcu odkryła, że ma kręgosłup i potrafi odmawiać zginania karku? Było to

zagadką dla jej rodziców i dla niej samej. Mimo wszystko nie udało im się odebrać jej marzeń. Teraz przy lada okazji aż rwała się do walki, gotowa do ostatniej kropli krwi bronić swoich racji, dlatego koniecznie musiała nauczyć się, jak temperować swą nowo odkrytą asertywność. Prawda była bezlitosna - w obecnej sytuacji Heather nie mogła sobie pozwolić na utratę tej pracy, chyba że była gotowa na upokorzenie i, jak to jej ojciec wyrażał bez ogródek, „przyczołgać się” do rodziców po pomoc.

Jednak nie miała też najmniejszej ochoty pracować dla człowieka, który zaatakował ją w identyczny sposób, jak zwykł to czynić jej nadzwyczaj surowy i wymagający ojciec. Nigdy nie okazał jej zadowolenia, dopóki nie spełniła najwyższych oczekiwań.

Heather wyprostowała plecy i skierowała się do drzwi. Przez długie wieki życiorysy wielu znanych muzyków dowiodły, że ubóstwo znakomicie służy duszy. Musi o tym pamiętać.

Zatrzymał ją niepewny dziecięcy głosik.

- Ciasteczko!

Ta niespodziewana wypowiedź gwałtownie odmieniła stanowczy wyraz twarzy Tobiasa Danfortha, ojca równie surowego jak senior Burroughs. Oczy, które ledwie przed chwilą były zimne jak lód, natychmiast odtajały. Padając na kolana, chwycił syna za ramiona i spojrzał mu prosto w oczy.

- Coś powiedział?

Dobrze, że jego gest był tak czuły, bo Heather mogłaby pomyśleć, że zamierza wytrząsnąć z dziecka właściwą odpowiedź.

Co z niego za ojciec, skoro nie rozumie pierwszych, tak zachwycających słów własnego dziecka? Zaszło jej w gardle, dlatego jej próba objaśnienia tego nieszczęsnego, ciemnego człowieka zabrzmiała nieco zgrzytliwie.

- Myślę, że powiedział „ciasteczko”. Chyba zasłużył na następne.

- Myślę, że zasłużył na całą torbę! - triumfalnie wykrzyknął Tobias.

Podniósł Dylana wysoko nad głowę i zaczął obracać w kółko.

Chłopczyk tak szybko wirował jak bączek, że kowbojski nadruk na jego koszulce rozmył się w oczach Heather. Widząc żywiołową radość na twarzy ojca, zaczęła podejrzewać, że w rzeczywistości za maską potwora

skrywa się całkiem miły facet. Dylan popiskiwał radośnie i powtórzył wyczyn, który wywołał tak entuzjastyczny odzew.

- Ciasteczko.

Ciężar spadł z jej serca, gdy ujrzała lśniące w oczach Tobiasa łzy. Postawił na ziemi synka i zmierzwił mu ciemne włoski.

Ów znany ze swych bogactw człowiek dla miejscowych był tajemniczym samotnikiem. Ludzie tu urodzeni i wychowani długo i nieufnie przyglądali się opływającemu w miliony dżentelmenowi, który traktował swe ranczo jak hobby. Lecz jak się okazało, i jego do łez doprowadzić mogły pierwsze słowa synka. Tego się nie spodziewała.

Zgodnie z zapowiedzią, Tobias sięgnął po torbę ciasteczek z pobliskiej półki i podał ją Dylanowi. Mroczne podejrzenia Heather dotyczące jej niedosłego szefa doszczętnie wyparowały, gdy chłopczyk zarzucił ramiona na ojcowską szyję i zaczął okrywać go pocałunkami. Ta scena była tak niepodobna do tego, co sama pamiętała z własnego dzieciństwa... Heather poczuła szarpnięcie żalu, że nie zostanie tu, by bliżej poznać ich obu.

Gdy odwróciła się do wyjścia, zatrzymał ją zdecydowany i zarazem miękki głos z południowym akcentem:

- Dokąd to?

Powoli się odwróciła. Tobias Danforth był tak umazany czekoladą od całusów synka, że napięcie między nimi gwałtownie opadło. Ciężki uśmiech zmiękczył kanciaste rysy jego twarzy. Była teraz znacznie mniej przerażająca niż z początku.

- Właśnie mnie pan zwolnił - przypomniała mu grzecznie.

Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i wytarł nią twarz.

- A prawda... więc znów panią zatrudniam.

Serce Heather waliło jak oszalałe. Jeśli miała szansę na uratowanie tej pracy, powinna teraz uśmiechnąć się i odezwać pojednawczo. Nie chciała znaleźć się sytuacji, w której musiałaby błagać o pieniądze swoich rodziców, a znalezienie posady, która bardziej odpowiadałaby jej obecnym potrzebom, było niemożliwością. Nie mówiąc już o natychmiastowej więzi, jaką poczuła z powierzonym jej opiece dzieckiem. Wyjęła chusteczkę z rąk Tobiasa.

- Proszę pozwolić, ja to zrobię. - Zabrała do usuwania okruszków

ciastek z jego wąsów.

To, co miało być przyjacielskim gestem, nabrało nagle innego wyrazu, bo Tobias patrzył prosto w jej oczy. Poczula przeszywający ją dreszcz. Zadrżała, a chusteczka w jej dłoni przypominała białą flagę. Heather lubiła mężczyzn ogolonych, ale nie mogła oderwać wzroku od jego ładnie przyciętych wąsów.

Czyś ty zupełnie oszalała? - pytała samą siebie. Dobrze wiedziała, że w żadnym wypadku nie powinna powielać destrukcyjnego wzorca, który zrujnował jej poprzedni związek z mężczyzną, a zarazem jej nauczycielem. Z trudem szukała czegokolwiek, co mogłaby teraz powiedzieć, by przywrócić tej sytuacji bardziej oficjalny charakter. Romantyczne marzenia o pracodawcy, bez względu na jego urok, były czynem samobójczym.

- Szczerze mówiąc, wolałabym najpierw przedyskutować naszą umowę, zanim przyjmę pana warunki, zwłaszcza jeśli pozwalają panu na takie zachowania, jakiego świadkiem byłam przed chwilą.

Tobias ujął jej dłoń. Chusteczka delikatnie opadła na ziemię pomiędzy nimi.

- Zapewniam panią, panno Burroughs, że nie mam zamiaru kompromitować pani, jeśli tego się pani obawia. Równie dobrze sam wycieram swoją twarz, - jak i swój tyłek. Nie potrzebuję niani, nawet gdy jestem tak wykończony jak teraz. Sam mogę o siebie zadbać. Natomiast rozpaczliwie potrzebuję kogoś, kto pomoże mi w opiece nad Dylanem i w ćwiczeniach, które mu zaleciła logopedka. Jedno właśnie nam pani przerwała.

Teraz z kolei Heather zawahała się. Nie wiedziała, jak powinna postąpić. Do licha! Nie wpadła na to, że trzylatek tylko odrabiał zadania zalecone przez specjalistkę. To jeszcze dobitniej zapowiadało jej klęskę w roli opiekunki Dylana. Jeśli naprawdę chciała osiągnąć poziom, jaki w college'u przed przyszłymi nauczycielkami rysowali profesorowie, musiała przestać wyciągać pochopne wnioski.

- Ja... Bardzo przepraszam - wyjąkała. Marzyła, by móc zacząć wszystko od początku.

Tobiasz wetknął rozczapierzone palce w gęstwinę ciemnych włosów i zapadła cisza. Były brązowe u nasady, a słońce ozłociło ich końce.

Zdecydowanie domagały się fryzjera. Heather miała ochotę ich dotknąć.

- Nie trzeba. W jednej chwili osiągnęła pani to, co nie udało mi się od czasu, gdy matka Dylana odeszła.

Gorycz i rozpacz zabrzmiały w tych słowach.

Heather zastanawiała się, co takiego stało się z matką Dylana. Czy odeszła, bo nie mogła znieść samotności na farmie, wiele kilometrów od najbliższych sąsiadów? Albo przez jakiś błąd męża? Może uciekła, bo manipulował nią jak synem, który, by dostać ciastko, musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty, bo przychodziło mu to z wielkim trudem?

Pewnie miała swoje powody, ale Heather współczuła każdemu dziecku porzuconemu przez matkę. Ją rodzice odesłali z domu pod pretekstem, że dzięki temu rozwinię swój talent, dlatego doskonale rozumiała, jakie to niszczące uczucie, gdy zostaniemy porzuceni przez ludzi, którzy powinni nas kochać najmocniej na świecie. I jak desperacko potem staramy się zapracować na ich aprobatę.

Słowa Tobiasa przywołały Heather do rzeczywistości, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej skomplikowana.

- Na wypadek, gdyby agencja pani nie poinformowała, Dylan jest opóźniony w rozwoju.

Głos ugrzązł mu w gardle. Choć kusilo ją, wykonać jakiś pocieszający gest, uścisnąć mu ramię, powstrzymała się. Lepiej go znowu nie dotykać. Było jasne, że największą trudnością w tej pracy nie będzie opieka na opóźnionym w rozwoju dzieckiem, ale mieszkanie z mężczyzną, który tak na nią działał. Za miłość do Josefa Heather zapłaciła swoją miłością do muzyki. Natomiast gdyby zakochała się w Tobiasie Danforcie, mogłoby to ją kosztować utratą resztki szacunku do samej siebie.

Odchrząknął i mówił dalej:

- Ponieważ ma pani wspaniałe rekomendacje, miałem nadzieję, że zbliżycie się z Dylanem dzięki wspólnej pasji. - Wskazał fortepian pod przeciwległą ścianą. Czarny, wypolerowany kształt lśnił w powodzi słonecznego światła zalewającej pokój. Obudziło to w Heather taką mieszankę sprzecznych emocji, że aż poszukała ręką oparcia, by nie upaść. Zarazem pragnęła natychmiast dotknąć klawiatury, jak i uciec stąd z krzykiem, jako że na zawsze zatrzasnęła drzwi do tego rozdziału

swego życia. - Z pani CV wynika, że ma pani wykształcenie muzyczne. Dylan wykazuje pewne zdolności w tej dziedzinie. Ma dopiero trzy lata i nikt go tego nie uczył, a umie zagrać wiele melodii na fortepianie. - Guziki na koszuli ojca zafalowały z tłumionej dumy.

- Mam nadzieję, że nie robi pan Dylanowi tego, co zrobili mi moi rodzice, i nie wyśle go pan do szkoły dla utalentowanej młodzieży. Byłam wtedy prawie dwa razy starsza od Dylana, a jednak nie umiałam radzić sobie z tą okropną presją, by za wszelką cenę odnosić sukcesy.

Oczy Tobiasa rozszerzyły się z zaskoczenia. Potrząsnął głową ze współczuciem.

- Nie mam zamiaru wysyłać mojego synka dokądkolwiek. Moja żona mogła się czuć ograniczona przez życie rodzinne, ale mnie to nie dotyczy. Cokolwiek myśli pani o moich metodach wychowawczych, proszę nigdy nie zapominać, że kocham mojego synka i zrobię wszystko, by odzyskał mowę. Nawet przekupując go ciastkami, jeśli zaleci to logopeda.

Heather aż poczerwieniała od tej reprimendy. Nie pozostało jej nic innego, jak wyjaśnić swoje stanowisko.

- Dopóki nie zażąda pan ode mnie, bym stosowała te techniki, obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy, by panu pomóc, panie Danforth. Zaznaczam stanowczo, że nie jestem zwolenniczką takich metod.

- Wystarczy, panno Burroughs - przerwał, podnosząc ironicznie brew. - Nie będziemy wszczynać debaty na temat różnych kierunków w pedagogice specjalnej. Po prostu liczę na to, że naciśnie pani właściwy klawisz, który pozwoli mojemu synowi wyjść ze swojej skorupy.

Pochwyciwszy w lot dosłowny i przenośny sens słów Tobiasa, Heather odpowiedziała z równą uwagą. Nie mogłaby nigdy zmusić dziecka siłą do czegokolwiek, tak jak postępowali jej rodzice, wbrew swym intencjom obracając cudowny dar w przekleństwo.

- Będę szczęśliwa, pomagając Dylanowi rozwijać jego talent muzyczny, o ile sam będzie tego chciał.

Tobias wyraźnie się ucieszył.

- No to ustalone. Poza zajęciami muzycznymi, będzie pani oczywiście jak najwięcej czasu spędzać z Dylanem. Jeśli chodzi o inne



obowiązki, to oczekuję, że będzie pani gotować i sprzątać, ale uspokajam, że nie grymaszę.

Heather nie sądziła, by cokolwiek, co wiąże się z pracą u nieziemsko przystojnego i bogatego mężczyzny, mogłoby ją uspokoić, jednak jego słowa i uśmiech nieco ją rozluźniły. Poszukiwanie pracy było dla niej nowym doświadczeniem, ale nie miała najmniejszego zamiaru się płaszczyc, żeby zdobyć posadę. Jednak z uwagi na krytyczną sytuację, w jakiej się znalazła, nie mogła dyktować warunków czy choćby się targować. Postanowiła więc ukryć, że jej doświadczenia kulinarne są równie niewielkie jak te związane z opieką nad dziećmi. Z teorią było całkiem nieźle, za to praktyka...

- Proszę mówić do mnie Toby, a nie Tobias. - Wyciągnął rękę do Heather.

To bogacz, a woli, by zwracać się do niego zwyczajnie. Spodobało się jej to. Tak samo jak stwardniałe od pracy dłonie. Dłonie Josefa miały dziecięcą delikatność, ale choć grał na niej jak na instrumencie, ich dotyk sprawiał jej ból.

- Dylana już poznałaś - ciągnął Toby.

Chłopiec, słysząc swoje imię, upuścił torebkę z ciastkami i wyciągnął rękę do Heather. Bez wahania go przytuliła. Wprost lepił się od słodkości, pachniał czekoladą, dzieciennym szamponem i bezwarunkową miłością. Dylan mocno chwycił ją za szyję i wycisnął pocałunek na jej policzku. Heather coś ścisnęło za serce.

Uśmiech, który rozświetlił oczy Toby'ego, był wolny od zazdrości.

- Wygląda mi to na miłość od pierwszego wejrzenia.

Wzdrygnęła się. Wiedziała, że Toby mówi o swoim synku, jednak wspomnienie tych samych słów wypowiedzianych przez jej ojca, gdy przedstawiał córkę Jo-sefowi, zirytowało ją. Ten związek zakończył się katastrofą, a ona nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę. Musiała strzec się przed zbyt silnym zaangażowaniem zarówno jeśli chodzi o Dylana, jak i jego ojca. Podjęła tę pracę tylko po to, by zyskać finansową samodzielność. Heather przyrzekła sobie solennie, że już nigdy nie będzie zależna od jakiegokolwiek mężczyzny.

Także od ojca oraz byłego i jak dotąd jedyne go kochanka.

Obaj byli dziwnie podobni do siebie. Kiedy Josef odwrócił się od niej,

ojciec, a wraz z nim oczywiście matka, zrobił to samo.

Rodzice wprawdzie oficjalnie jej nie wydziedziczyli, za to odcięli ją od wszelkich pieniędzy. Uznali, że skoro werbalna presja nie odniosła skutku, tylko w ten sposób przemówią córce do rozumu i zmuszą, by tańczyła tak, jak jej zagrają. W konsekwencji Heather wreszcie się zbuntowała. Porzuciła karierę muzyczną i postanowiła skończyć studia pedagogiczne, na które zamierzała sama zarobić. Wiedziała, że będzie to trudne, bez dużej samodyscypliny i determinacji wręcz niemożliwe do osiągnięcia. Rzeczowy osąd sytuacji, twarde trzymanie się realiów, o to musiała dbać przede wszystkim. Z tego płynął prosty wniosek, że absolutnie nie mogła sobie pozwolić na jakiegokolwiek osobiste uczucia, które tylko mącą umysł i nie pozwalają jasno myśleć.

Heather po raz pierwszy w życiu musiała liczyć się z każdym groszem. Szczęśliwie Toby Danforth złożył szczerą ofertę. Choć ostrzegawcze światełko zapaliło się w jej głowie, nie wpłynęło to na jej decyzję. Cokolwiek mówiła jej intuicja, Heather nie mogła pozwolić sobie na to, by nie wziąć tej pracy.

- Kiedy zaczynam? - spytała z dzielnym uśmiechem.

- Kiedy tylko możesz. - Toby przepaszająco zatoczył ręką wokół.

Pokój, choć panował w nim pewien nieład, nie był brudny ani zaśmiecony. - Nie wiem, czy w agencji powiedzieli ci, ale dwa tygodnie temu moja gospodyni poważnie zachorowała i odeszła. Będę z tobą szczerą, znalazłem się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Niestety ranczo nie poprowadzi się samo, a ponieważ przez ostatnie tygodnie zajmowałem się Dylanem, mam masę zaległości. Nie wiem, czy niektóre prace da się nadgonić.

Był tak bardzo przybity, że Heather ogarnęło współczucie. Chciała być twarda i asertywna, ale przecież dobre serce też ma coś do powiedzenia. Gdy ktoś potrzebuje pomocy, trzeba mu jej udzielić i tyle. Rozumiała, jak trudno było tak dumnemu mężczyźnie jak Toby prosić ją o pomoc. Do tego kobieta w agencji pośrednictwa pracy poinformowała ją konspiracyjnym szeptem, że dziecko nie odezwało się od odejścia matki. Dwie obolałe dusze.... i jej na dokładkę. Nie wiedziała, czy trzy zranione serca można uleczyć pod tym samym dachem. Cóż, pozostawała jej wiara w jakieś „lepsze jutro”.

- Bagaże zostawiłam w samochodzie. Proszę pokazać mi mój pokój, rozpakuję się i zacznę od zaraz.

Ulga wypisana na twarzy Toby'ego była tak szczerą, że Heather przestraszyła się jego wylewności. A jeśli, jak przed chwilą zrobił to z Dylaniem, zacznie ją obracać nad głową? Już i tak nie mogła jasno myśleć. I nic nie zapowiadało, że to się zmieni.

- Jeśli nie zabrałaś eleganckich sukienek, możemy podczas weekendu wybrać coś w mieście. Za kilka dni chcę zabrać Dylana na zjazd rodzinny i zależy mi na tym, żebyś pojechała z nami.

Heather potrząsnęła głową. Toby Danforth nie był typowym ranczerem, nie żył w zwolnionym rytmie. Wręcz przeciwnie. Jak dla niej wszystko działo się zbyt szybko. W ciągu piętnastu minut została wywalona z pracy, z powrotem przyjęta i zaproszona na zjazd rodzinny.

- To nie będzie konieczne. - Starła się poskromić wrodzony lęk przed tłumem nieznanymi osobami. - Mam garderobę odpowiednią na wszelkie okazje, oczywiście w granicach rozsądku. Przygotuję się odpowiednio na to niewielkie, jak sądzę, spotkanie rodzinne.

O ile odbędzie się ono nie dalej niż w sąsiednim hrabstwie... I nie trzeba będzie lecieć samolotem, dodała w duchu. Lęk przed lataniem ograniczał w dzieciństwie jej trasy koncertowe, uniemożliwiając pokonywanie dalekich dystansów. Kiedy tylko było można, Heather wybierała autobusy i pociągi.

Napięcie na twarzy Toby'ego ustąpiło szerokiemu uśmiechowi.

- Miło mi to słyszeć. Weź tylko letnie ubrania. Moja siostra powiedziała, że w Savannah jest tak ciepło, jak nigdy o tej porze roku. Mówiłem już, że wylatujemy w ten poniedziałek?

Zaskoczona Heather aż otworzyła usta, kiedy uradowany Dylan zaklaskał w dłonie.

---

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

---

Było coś królewskiego w sposobie, w jaki nosiła się nowa niania, co sprawiało, że czuł się, jakby to on dla niej pracował, a nie na odwrót. Oczywiście nie miało to większego znaczenia, dopóki była dobra dla Dylana. Młodość i brak doświadczenia, oczy tak szare jak niebo przed burzą, olśniewająca figura i kuszące usta zaciskające się w cienką, pełną dezaprobaty linię, kiedy pojęła, że drażni się z Dylanem tym przeklętym ciasteczkiem, wszystko było całkowicie wybaczone.

I, co godne ubolewania, niezapomniane.

Dylan nigdy nie zachowywał się z taką ufnością i otwartością wobec obcych, jak podczas spotkania z Heather. Nawet gdy była jeszcze przy nim matka, peszył się i prawie nie odzywał. Fakt, że zapewne obecność Heather pomogła mu wypowiedzieć pierwsze słowo od rozstania z Sheilą, był dla Toby'ego wystarczającym powodem, by powstrzymać wszelkie rodzące się w nim wątpliwości. Od ataku serca kochanej pani Cremins rozpaczliwie próbował znaleźć kogoś, kto mógłby ją zastąpić. Kogoś, kto zgodzi się zamieszkać w miejscu, które Sheila ochrzciła mianem najbardziej opuszczonego odludzia na ziemi. Mając w pamięci decyzję byłej żony, która porzuciła wieś, a co ważniejsze - rodzinę, Toby miał poważne obawy, czy zdoła tu zatrzymać na dłużej tak piękną, młodą kobietę jak Heather. Miał nadzieję, że Dylan nie przywiąże się do niej zbyt mocno, nim niania, jak przedtem matka, odfrunie gdzieś, by wieść bardziej emocjonujące życie.

Osobiście Toby uwielbiał to osamotnienie i surowe piękno rancza DD. Prawdę mówiąc, dzięki niemu spełnił swe marzenie, by wyrwać się z zaangażowanej w politykę rodziny i znaleźć miejsce dla siebie i swojego syna. Marzenie to było zarazem wcieleniem amerykańskiego mitu o tworzeniu czegoś od podstaw własnymi rękami. Danforthowie tkwili tak

głęboko w starym Południu, że decyzję Toby'ego o przeprowadzce do Wyomingu wielu krewnych potraktowało jako afront uczyniony chwalebnej pamięci Konfederacji. Amerykański mit mitem, ale prawdziwy Południowiec powinien twardo trzymać się swej ziemi i tradycji, a nie zapuszczać się, wstyd powiedzieć, w jankeskie strony. Z drugiej jednak strony wybór Toby'ego, chęć osiągnięcia czegoś własnego, tak odmiennego i wolnego od wpływów rodziny, przypominał Deklarację Niepodległości, która uwolniła kiedyś cały naród,

Ranczo DD, spoczywające u podnóża majestatycznego łańcucha górskiego Snowy Range, było dla Toby'ego ziszczonym rajem na ziemi. Głęboko wierzył, że pod czystym, bezchmurnym niebem Wyomingu człowiek może myśleć jaśniej i wyraźniej. Tutaj nowoczesność i polityka знаły swoje miejsce, ta kraina umiała sobie z nimi radzić.

Stawiała wyzwania, zmuszała do radzenia sobie własnym przemysłem i polegania na dobrej woli sąsiadów, którzy wciąż wyżej cenili ciężką pracę niż pokusy zmiennego rynku, przyciągającego złodziei i kryminalistów, potrafiących jakimś cudem utrzymać swe rezydencje, podczas gdy ich drobni, nieobcy z wielkim biznesem udziałowcy bankrutowali.

Trudno wyjaśnić, dlaczego Toby'ego wygodne życie śmietanki Południa wprost dławilo. Wcale nie chodziło o to, że nie kochał swojej rodziny, bo było wręcz przeciwnie. Jednak, dorastając w tej atmosferze, już jako nastolatek rozumiał, że kompletnie nie pasuje do rodzinnego domu. A zaczęło się to, gdy, będąc małym chłopcem, obejrzał pierwszy western. Poczul, że do takiego życia jest stworzony, i w miarę lat umacniał się w tym przekonaniu. Do życia bez luksusowych pól golfowych, snobistycznych przyjęć, pławienia się w poczuciu, że jest się z wyższej sfery.

Choć tak skwapliwie opuszczał Savannah cztery lata temu, to jednak wysoko cenił więzi rodzinne, choćby przez wzgląd na Dylana. Toby był niezwykle oddany swojemu ojcu. Zrobiłby wszystko, o co poprosiłby Harold Danforth, nawet jeśli chodziło o przyjazd do domu, by pomóc wujowi, za którym nigdy nie przepadał, i uczestniczenie w okropnych oficjalnych spotkaniach. Według jego ojca, Abraham Danforth był już jedną nogą w Senacie. W odpowiedzi na prośbę wuja Abe'a, ojciec Toby'ego wezwał wszystkie swoje dzieci na wielkie przyjęcie wydawane

4 lipca w Crofthaven, rodzinnej posiadłości w pobliżu portu w Savannah. Rezydencja należała do rodziny Danforthów od przeszło stu lat i choć ani dla Toby'ego, ani, o ile wiedział, dla żadnego z jego kuzynów nie wiązały się z nią ciepłe wspomnienia, była idealnym miejscem na zjazd rodzinny. Nie mówiąc o tym, że stanowiła wspaniałą scenerię do rozpoczęcia kampanii wyborczej człowieka, który w opinii Toby'ego bardziej przejmował się reklamowaniem własnej osoby niż opieką nad swoją rodziną.

Toby nie zazdrościł bogatszej gałęzi rodziny. Kiedy przed laty umarła Abrahamowi żona, ten bezzwłocznie pozbył się dzieci, odsyłając je do ekskluzywnych szkół z internatem. Zajęty wyrabianiem sobie nazwiska, oddawał je pod opiekę innych ludzi także podczas ferii szkolnych. Wiele z nich kuzyni spędzili w rodzinnym domu Toby'ego, zostawiając tam miłe wspomnienia, a w końcu uznając Harolda za drugiego ojca, skoro ten prawdziwy miał dla nich niewiele czasu.

Toby nie miał nic przeciwko dzieleniu się ojcem z kuzynami, którzy byli dla niego jak bracia i siostry. Dobry i kochający Harold Danforth był takim człowiekiem, jakiego mali chłopcy uznają za wzór, a dziewczynki planują poślubić, kiedy dorosną. To jedna z przyczyn, dla których Toby tak obawiał się większej zażyłości między swym synem a Haroldem. Miał jednak nadzieję, że kontakt z tak liczną rodziną doda Dylanowi odwagi i wyrwie go z milczącego azylu, w którym się skrył po stracie matki.

Danforthowie mieli to do siebie, że gdziekolwiek zebrano się kilkoro z nich, tam zaraz było dużo gadania, śmiechu i dyskusji na wszystkie możliwe tematy, od nowinek politycznych po wspomnienia młodzieńczych wygłupów. Toby wiedział, że jego rodzina zrobi wszystko, by Dylan poczuł się jak u siebie i opuścił swoją skorupę. To, że stale będzie z nim Heather, doda chłopcu pewności siebie, choć dla Toby'ego obecność niani w Crofthaven wiązała się z pewnymi nieuchronnymi kłopotami. Otóż mógłby założyć się o każde pieniądze, że jego ukochana siostrzyczka z miejsca zacznie go swatać.

Pomimo powtarzanych deklaracji, że nie interesują go randki ani ponowne małżeństwo, był pewny, że kiedy tylko znajdzie się w Savannah, i to w towarzystwie urodziwej opiekunki Toby'ego, Imogene

przedstawi mu do przeglądu wszystkie wolne piękności z wyższych sfer Savannah. Toby doceniał, że siostra tak troszczy się o jego szczęście, a także zabiega, by włączył do znamienitej rodziny Danforthów przedstawicielkę innej znamienitej rodziny z Południa, ale chciał też, by rodzina zaakceptowała jego decyzję o sposobie wychowywania syna. W pierwszym rzędzie był ranczerem i samotnym ojcem, natomiast fakt, że należał do jednego z najbardziej wpływowych rodów w Georgii, miał dla niego mniejsze znaczenie.

Toby uważał, że zmuszanie Heather do podróży zaraz po podjęciu pracy nie było w porządku, jednak miał nadzieję, że wysoka pensja zrekompensuje dyskomfort wynikający z konieczności towarzyszenia szefowi podczas rodzinnego zjazdu. Podejrzewał też, że konsternacja, z jaką niania zareagowała na zaproszenie, wynikała z awersji do latania albo, co gorsza, dotyczyła jego osoby, przebywania z nim sam na sam. Sądząc po Sheili, mogło się okazać, że tak właśnie działał na kobiety.

Heather Burroughs nie była stateczną matroną, jakiej szukał na miejsce pani Cremins, ani nieśmiałą nauczycielką muzyki, szarą myszką, o której łatwo zapomnieć. Toby mógł sobie wmawiać, że wyrzekł się kobiet, ale skoro jego ciało gwałtownie wyrażało inny pogląd, była niewielka szansa, że mu się to uda. Miał też niewielkie szanse, by nabrać na to swoją siostrę Genie, która twardo postanowiła wyswatać brata.

Na samo wspomnienie Heather wkraczającej do jego salonu z siłą małego tornada ogarnęły go całkiem niechciane emocje. W tenisówkach i znoszonych dzinsach, z jasnymi włosami spływającymi z ramion, wyglądała bardziej jak gwiazda rocka, zamierzająca rozbić mu gitarę na głowie, niż pianistka klasyczna, pełna rezerwy nobliwa dama o nienagannych manierach, jak tego oczekiwał. Iskry, który zobaczył w jej szarych oczach, kazały mu zastanawiać się, czy właściwy mężczyzna byłby zdolny roztopić w niej tę ścianę lodu.

Toby'emu przestał podobać się kierunek, w jakim zmierzały jego myśli. Zawsze starał się unikać plotek, a stan Wyoming, słabo zaludniona kraina pastwisk i ranczerów, nigdy nie wyróżniał się szczególnym liberalizmem. Już sam fakt, że Heather zamieszkała pod jednym dachem z samotnym mężczyzną, nie wpłynęło najlepiej na jej reputację. Ani na jego pozycję w konserwatywnej społeczności. Jak też

na jego libido, nawiasem mówiąc.

Libido samotnego mężczyzny, dla którego puste noce stawały się prawdziwym piekłem.

Nagła konieczność przyjęcia kogoś na miejsce pani Cremins zaciemniła mu ocenę sytuacji, a możliwość, że dzięki Heather jego syn zacznie znów mówić, po raz pierwszy od odejścia Sheili dała Toby'emu nadzieję. Choć najpewniej było zbiegiem okoliczności, że Dylan odezwał się akurat wtedy,<sup>1</sup> gdy Heather przyjechała, to jednak nie mógł zignorować możliwości, że właśnie ona przyspieszyła ten moment. Jeśli dowiedzie, że jest idealną opiekunką, spełni każde jej życzenie.

Czas pokaże.

- Miło mi cię poznać, Dylan.

Heather wyciągnęła rękę do chłopca, który z zadartą głową przypatrywał się jej nieufnie. Ojciec zostawił go, powiedział, że ma mnóstwo pracy.

Małemu to się nie spodobało, zresztą Toby też niechętnie zostawiał syna z obcą osobą. Obiecał solennie, że punktualnie zjawi się na kolacji, którą Heather zamierzała przyrządzić naprędce, jak tylko nieco rozejrzy się po kuchni. Odgłos zamykanych drzwi frontowych odbił się echem w całym domu.

- Mów do mnie Heather - powiedziała do malca - albo tak, jak ci pasuje.

Ujęła jego pulchną łapkę, całą w słodkich dołeczkach, i potrząsnęła na przywitanie. Kiedy kobieta w agencji pośrednictwa powiedziała jej, że Dylan jest opóźniony w rozwoju, zabrzmiało to tak, jakby był niedorozwinięty. Teraz wiedziała, że z jego umysłem wszystko jest w porządku. Patrzył na nią, oceniał, a jego jasnoniebieskie oczy skrzyły się inteligencją.

- O czym myślisz? - Dotknęła palcem jego czoła. Dylan natychmiast powtórzył ten gest, celując miękkim paluszkiem w jej brew.

- Ja? - Błyskawicznie zrozumiała jego nieme pytanie. - Och, myślę sobie właśnie, że skoro jesteśmy do siebie tak podobni, to będzie nam razem cudownie.

Nie zniechęcił jej poważny wyraz twarzy chłopca. Specjalne potrzeby Dylana mobilizowały Heather, a nie zniechęcały do pracy. Podejmując



decyzję o porzuceniu muzyki i rozpoczęciu kariery nauczycielki, marzyła o tym, by jak najprędzej zmierzyć się z prawdziwymi wyzwaniami.

Tylko w ten sposób mogła się przekonać, czy jej rodzice mieli rację, twierdząc, że ich córka zrobiła największy błąd swego życia. Jeśli okaże się to prawdą, Heather zrezygnuje z pedagogiki, nie będzie kontynuować tego kierunku studiów i zaoszczędzi mnóstwo czasu i pieniędzy.

W tej chwili była jednak daleka od kapitulacji, przepelniał ją twórczy zapał, miała też swoje twarde, wynikające z teoretycznych przemyśleń i własnych doświadczeń poglądy. Na przykład żaden, choćby uchodzący za największą sławę profesor nie przekonałby jej do tak poniżających praktyk, mających motywować Dylana, jak te, które jego ojcu wciskała jakaś nieszczęsna logo-pedka. Heather była święcie przekonana, że takie metody wyrządzą więcej szkody niż pożytku, podobnie jak poniżające kazania, których, oczywiście „dla jej dobra”, nie szczędzili jej nauczyciele muzyki.

Zalały ją dręczące wspomnienia. Była uzdolniona muzycznie i całe jej dzieciństwo podporządkowane zostało wybujałym oczekiwaniom dorosłych. Niekończące się ćwiczenia, katorżnicza praca, przeplatana niekiedy publicznymi występami, nieustająca presja, nieustająca krytyka... Gdy coś osiągnęła, nie chwalono jej, tylko natychmiast podnoszono poprzeczkę.

Przez to wszystko Heather nabrała przekonania, że jest do niczego i tylko z rzadka udaje się jej coś zrobić na dostatecznym poziomie. Taką taktykę przyjęli jej rodzice, stosowali ją również nauczyciele. Heather traktowana była jako przyszła maszyna do robienia pieniędzy i przysparzania prestiżu, nikt natomiast nie był ciekaw, jaką jest osobą, czego naprawdę pragnie i o czym marzy. Gdy skończyła siedem lat, umieszczono ją w ekskluzywnym konserwatorium oddalonym od domu setki kilometrów. Miała ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć, natomiast nikt nie przejmował się stanem jej ducha. Jako siedemnastolatka była już prawdziwą weteranką recitali i konkursów młodych talentów.

- *Jeszcze raz - zażądał pan Marion, spoglądając sponad upodabniających go do sowy okularów, które, jeśli to możliwe, dodawały*

*dezaprobaty jego i tak już niezadowolonemu spojrzeniu. - I nie pociągaj nosem jak jakiś ulicznik. Twoi rodzice płacą dużo pieniędzy za to, żebyś nauczyła się dyscypliny. Zagrasz to znów i będziesz powtarzać, dopóki nie będzie dobrze. Dopóki nie będzie doskonale.*

Heather wiedziała, że dużo łatwiej i efektywniej pracuje się z kimś, kto chce pracować i ma konkretne oczekiwania, niż z osobą biernie wykonującą polecenia, nawykłą do posłuchu. Gdy dziecko zostanie złamane przez surową dyscyplinę, opuszcza je energia, a w jej miejsce pojawia się pasywne posłuszeństwo. Heather dobrze to знаła z własnego doświadczenia.

- Nie martw się, Dylan. Nie będę cię zmuszała do mówienia, jeśli tego nie chcesz. - Uśmiechnęła się. - Zresztą szybciej nauczę się gotować i prowadzić dom, jeśli nikt nie będzie mi trajkotał nad uchem. Poza tym sama nie jestem gadatliwa, podobnie jak ty. Byłam niewiele większa od ciebie, kiedy rozdzielono mnie z rodzicami. Gdy czułam się samotna, nie użalałam się przed innymi ludźmi. Mówiła za mnie muzyka.

Dylan wreszcie zainteresował się jej słowami. Przechylił głowę, a potem wskazał fortepian stojący pod ścianą.

- Zagrasz dla mnie piosenkę? - spytała Heather.

W odpowiedzi chłopiec pokazał konstrukcję z drewnianych klocek, którą bez entuzjazmu zbudował na podłodze. Heather schyliła się, by ją podnieść. Dylan nawet się nie uśmiechnął, kiedy budowla rozpadła się, a klocki rozsypały we wszystkich kierunkach.

- Och, przepraszam. - Wstała i podeszła do fortepianu, starając się nie okazywać prawdziwych uczuć. Cóż, muzyka przypominała jej o złamanym sercu.

Po chwili wahania podniosła wieko i przeciągnęła dłonią po klawiaturze; Dylan był już przy niej, zapominając o wszelkich oporach.

Heather zachwyciła się jakością instrumentu. Nie wiedziała, czy Tobiasz Danforth sam uprawiał muzykę, ale na pewno starał się zapewnić synowi wszystko, co najlepsze.

Zagrała kilka gam. Zabrzmiały idealnie. Z wyprostowanymi plecami i rękoma zawieszonymi nad klawiaturą wyglądała jak pianistka, która za chwilę rozpocznie koncert.

- Panie Janie, panie Janie, rano wstań, rano wstań... Głosowi bardziej

stosownemu do utworów wielkich mistrzów niż dziecięcej piosenki wtórował rytmiczny stukot klocków.

- Wszystkie dzwony biją, wszystkie dzwony biją, bim, barn, bom.

Dylan odłożył klocki, z wahaniem usiadł, obok Heather i zaczął brzdąkać w klawisze, wygrywając ostatnie nuty piosenki.

Heather ze śmiechem skinęła głową.

- Przypomina dźwięk, jaki wydają twoje klocki, kiedy upadną na podłogę, prawda?

Od dawna muzyka przynosiła Heather jedynie ból, jednak teraz z zaskoczeniem stwierdziła, że z radością się w niej zatracza mimo całej jej prostoty. Uszczęśliwiona, że nawiązała nic porozumienia z Dylanem, miała nadzieję, że jego ojciec nie będzie miał nic przeciwko kolacji składającej się z grillowanych sandwiczów z serem i zupy pomidorowej z puszki.

Dźwięki muzyki zatrzymały Toby'ego, gdy tylko wszedł do domu. Od tak dawna nie słychać było niczego wesołego w tych ścianach. Przez chwilę myślał, że pomylił domy. Choć tęsknił za zapachem wspaniałej, domowej kuchni pani Cremins, to witający go dziś radosny hałas wydał mu się słodszy.

Stanął w progu salonu i przysłuchiwał się zaimprovizowanemu recitalowi. Odwróceniu plecami Heather i Dylan nie byli świadomi jego obecności.

Jakim cudem ktoś obdarzony tak cudownym, wręcz boskim głosem, marnuje się jako niania? Ale Toby myślał o tym tylko chwilę. Jeśli Bogu spodobało się zesłać mu anioła, on nie będzie tego kwestionował.

Dylan wprawdzie milczał, ale był nadzwyczaj ożywiony. Toby nie widział go w takim stanie od bardzo dawna. Heather grała początkowe nuty prostych melodii, a chłopiec je kończył. Niania samą swoją obecnością zdawała się rozświetlać i napełniać energią cały dom. Nastrój przygnębienia, który unosił się w tych pokojach jeszcze przed odejściem Sheili, zaczął gdzieś zniknąć, ulatniać się.

Fakt, że w domu był bałagan, a obiad nie czekał na stole, nie stłumił optymizmu, który zaczął ogarniać Toby'ego. Pusty brzuch był niczym wobec nieustannego lęku, że rozwód rodziców na zawsze już odmienił chłopca.

- Tatuś przyszedł. - Dylan powiedział to niezwykle starannie, a jego stłumiony głos był pełen uczucia.

Zerwał się na równe nogi i wprost pofrunął w ramiona ojca. Heather zdumiała się, bo tak szalony entuzjazm był jej zupełnie obcy. Widok ogromnego mężczyzny podrzucającego dziecko i chwytającego je w niedźwiedzi uścisk sprawił, że jej serce zaczęło wyrywać się z bolesnych okowów, które sama na nie nałożyła. Podobne powitanie lata temu w wykonaniu jej ojca sprawiłoby, że uciekłyby w przestrachu do pokoju.

Heather poczuła się zawstydzona. Jak mogła podejrzewać Toby'ego, że jest potworem. Synek wprost go uwielbiał. I tak jednak zamierzała zachować dystans, bo nie miała najmniejszej ochoty na wykraczającą poza obowiązki służbowe zażyłość z szefem. Niedawno porzucił ją ktoś, komu ufała i kto przede wszystkim był jej mentorem, a kochankiem tylko okazjonalnie. Nie chciała wystawiać swojego serca na ponowne ryzyko.

To, że na pierwszy rzut oka Toby Danforth wyglądał na całkowite przeciwieństwo Josefa Sengelego, nie znaczyło, że nie było pomiędzy nimi żadnych podobieństw. Heather wiedziała już, że mężczyznom nie należy ufać. Obdarzeni silną wolą, jak jej ojciec i Josef, przywykli manipulować dla swoich celów tymi, którym wyznawali miłość. A Tobias Danforth robił wrażenie, że jest jednym z najbardziej zdecydowanych ludzi na całej planecie.

Jedyną różnicą było to, że ani Josef, ani jej ojciec nie byli skłonni do tej otwartości w uczuciach, która cechowała Toby'ego. To należało policzyć mu za zaletę.

W srebrnych ramkach na fortepianie stała fotografia matki Dylana. Heather była zaskoczona, że Toby nie pozbył się wszelkich śladów po byłej żonie. Piękna kobieta przez większą część popołudnia wpatrywała się oskarżycielsko w Heather. Jeszcze bardziej konsternujące było spojrzenie Dylana, co i rusz zwracające się ku ślicznej buzi.

- Obiecuję, że od jutra zajmę się też prowadzeniem domu - powiedziała przeproszającym tonem.

- W porządku. - Toby uśmiechnął się szczerze.

Heather zniemacka poczuła zazdrość o malca, który bezpiecznie spoczywał w silnych ramionach ojca. Zaskoczyło ją to i przeraziło.

- To, co robisz z Dylanem, jest o wiele ważniejsze. Wsadzę jakąś mrożonkę do mikrofalówki i spędzimy wieczór przed telewizorem. Co ty na to?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zaproszenie brzmiało kusząco. I niebezpiecznie.

Naprawdę umierała z głodu. Coś w tym mężczyźnie sprawiało, że miała ochotę wyjść, zarazem jednak coś ją do niego przyciągało. Złościło ją to bardzo. Zdała sobie sprawę, że Toby wzbudza w niej trudne do kontrolowania emocje.

Za Heather odpowiedziało donośne burczenie w brzuchu, zadając kłam jej wahaniu.

- Cudownie! - skomentowała z uśmiechem, nie zdradzając ogromu kotłujących się w niej sprzecznych uczuć.

Scandalous

---

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

Udawaj, zanim się nie nauczysz! Heather powtarzała to sobie w kółko, wyglądając przez maleńkie okienko. Samolot, który miał zabrać ją w samo serce Południa, do rodziny Toby'ego, czekał na pozwolenie startu.

Ta mantra pomogła jej przetrwać niezliczoną liczbę recitali i konkursów. Ścisnęła w rękach torebkę. Zrobiła wszystko, by udawać, że nie jest przerażona. Biorąc pod uwagę, jakim majstersztykiem było udawanie tego przez ostatnie dni, ukrywanie lęku podczas lotu powinno być bułką z masłem. Maszyna, w której siedzieli, przypominała zabawkę. Kiedy Toby powiedział, że wuj przysyła po nich prywatny odrzutowiec, Heather wyobraziła sobie coś bardziej stabilnego od jednosilnikowej cessny. Rozkraczona, na jałowym biegu, bardziej przypominała motocykl niż prawdziwy statek powietrzny.

- Wszystko w porządku? - spytał Toby. Odkleił jej dłoń kurczowo uczeponą torebki i uścisnął. - Jak mógłbym cię uspokoić?

- Wszystko w porządku - wymamrotała żałośnie przez zaciśnięte zęby.

Jej żołądek szarpnął, kiedy silnik zwiększył obroty.

Zakryła usta dłonią. Przywykła radzić sobie z nerwami przed występami, ale przerażała ją myśl o wymiotowaniu do papierowej torby w towarzystwie mężczyzny, który tak wzruszająco się o nią troszczył. Przed koncertami przynajmniej mogła niezauważalnie wymknąć się do łazienki.

Głos Toby'ego był aksamitnie gładki:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że boisz się latać? Dlaczego? Dobre sobie! Dla tego samego powodu, dla którego nie powie mu o uczuciach, jakie wzbudza w niej myśl o życiu z nim pod jednym dachem. Do tego

tuż przed spotkaniem z rodziną Toby'ego, tak blisko i silnie ze sobą związaną, czuła się jak dzieciak, który przyciska nos do szyby cukierni, a w kieszeni ma tylko parę centów. Nie chciała się do tego przyznać. Przez zaciśnięte usta rzuciła wytłumaczenie:

- Dam sobie radę. To moja praca. Wiedziałam, w co się pakuję.

Spoglądając spoza szerokich ramion Toby'ego, posłała Dylanowi szeroki uśmiech. Chłopiec nawet go nie zauważył, pochylony nad klawiaturą przenośnego syntezatora, zabranego przez ojca dla rozrywki podczas podróży. Trzylatkowi lot nie sprawiał takiego kłopotu jak Heather. Czuła się jak idiotka. Że też musiała zdradzić swoje zdenerwowanie. Z drugiej jednak strony wystarczyło, by Toby popatrzył jej prosto w oczy, i bez przeszkód mógł zajrzeć w jej duszę.

- Zaraz wracam - powiedział.

Gdy Heather zmusiła się do puszczenia jego dłoni, Toby wstał. Nie wmawiał jej, że nie ma się czego bać, za co była mu wdzięczna. W ten sposób jej ojciec próbował odegnać strach przed ciemnością, kiedy była małeńka. To samo mówił Josef, kiedy miała wystąpić przed salą pełną krytyków i czekała w kulisach na swoją kolej. I tuż przedtem, zanim odebrał jej dziewictwo.

I wszystko to były kłamstwa.

Była podwójnie wdzięczna, kiedy po chwili Toby wrócił. Nie z protekcyjnym zapewnieniem, że podróże lotnicze są bezpieczniejsze niż jazda samochodem, ale z mocnym drinkiem.

- Mam nadzieję, że lubisz whisky. - Podał jej wysoką szklankę. - Bardziej by do ciebie pasował fantazyjny koktajl z parasolką i wisienką, ale nie jestem barmanem, a to jest najlepsze, co mogłem zorganizować, zanim pilot każe zapiąć pasy.

Heather zapięła pasy zaraz po tym, jak usiadła, a następnie starannie przeczytała każde słowo z materiałów informacyjnych. Na wypadek, gdyby ocean zmaterializował się pomiędzy Wyomingiem i Georgią, wiedziała już, jak zamienić fotel w koło ratunkowe.

Już samo pobrzękiwanie kostek lodu w szklaneczce podziałało kojąco. Heather upiła łyk. Drink był naprawdę mocny.

- Mam nadzieję, że twoi krewni nie będą oburzeni, jeśli nie będę w stanie unieść się z fotela - zamruczała, pokaszując lekko.

Szeroki uśmiech, jakim jej odpowiedział, mógłby stopić kostki lodu. Heather nie była pewna, czy ciepło ogarniające jej ciało miało coś wspólnego z bliskością Toby'ego, czy to raczej alkohol ją rozgrzewał.

- Nie martw się - uspokoił ją. - O ile pamiętam, mój wuj nie opiera swojej kampanii wyborczej na ideach Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Bardzo słusznie, biorąc pod uwagę jego własną przeszłość.

- Hm... - Zdziwiona Heather uniosła brew.

- Moja rodzina nie jest bez skazy.

- A czyja jest?

Znów wypła łyk dla ukojenia nerwów, bo zaczęli kołować. Heather nie była wścibska, ale mimo to poczuła ciekawość. Zeszłego lata lokalne magazyny plotkarskie pełne były olśniewających zdjęć Toby'ego na tle wspaniałej posiadłości. Pisano, że jest z natury zły i zawistny.

To oczywiste, że jakakolwiek skaza czy słabość członka tak wpływowej rodziny zostanie natychmiast rozdmuchana przez prasę. Zastanawiała się, czy nie była to jedna z przyczyn, dla których Toby wybrał życie w tak znacznej odległości od swoich najbliższych.

Jej rodzice uwielbiali przykuwać uwagę mediów i wykorzystywali każdą szansę, by wypchnąć córkę w światło reflektorów. Dlatego tak dobrze go rozumiała.

- Jaka jest twoja rodzina? - spytał Toby.

Nie była pewna, czy pytanie było kurtuazyjne, czy też próbował ją w ten sposób wybić z apatii, w jaką coraz bardziej popadała.

- Cicha.

Gdy samolot uniósł się w powietrze, zacisnęła powieki. Miała nadzieję, że Toby wybaczy tak lakoniczną odpowiedź. Żołądek Heather podskoczył i pozostał gdzieś na wysokości gardła. Drobne kropelki potu zebrały się wokół jej ust.

- Wypij następny łyk - polecił Toby, ściskając jej dłoń.

Chyba jednak to jego głos działał na nią bardziej uspokajająco niż zaproponowane przez niego wysokoprocetowe remedium.

Niestety, dotyk dłoni Toby'ego wywarł przeciwny efekt. Emocje, które ogarnęły Heather, absolutnie nie powinny mieć miejsca w kontaktach między szefem i pracownicą. Zaraz zaczęła sobie powtarzać w myślach, że została zatrudniona do opieki nad Dylanem, a nie do



głupich, romantycznych rojeń, po których człowiek czuje się tylko beznadziejnie wykorzystany.

W tak małym samolocie każda turbulencja powodowała, że cessa wykonywała dzikie susy. Wyglądanie przez okno tylko wzmagało nadciągające fale mdłości. Wyjałowiony suszą krajobraz był nieprzyjazny, wręcz księżycowy.

- Odwróć się - powiedział Toby.
- Co?

Położył rękę na karku Heather. Kiedy dotknął zeszywniałych ramion, drgnęła i uniosła je.

- Zrobię ci mały masaż. Zobaczysz, zaraz się zrelaksujesz.

Choć Heather zaczęła protestować, to szybko przestała, bo Toby masował mistrzowsko. Ogarnęło ją cudowne uczucie. Powoli wypuściła powietrze i poczuła, jak wszystkie jej mięśnie się rozluźniają, a lot w przestworzach przestał tak bardzo przerażać.

Zamknęła oczy.

- To naprawdę miłe - przyznała.

Chichot w fotelu za nią sprawił, że omal nie wylała zawartości szklanki na kolana. Dylan najwyraźniej nie podzielał jej niechęci do latania. Turbulencje przypominały mu pewnie przejażdżkę na kolejce górskiej. Toby ucieszył się, słysząc śmiech syna. Od pojawienia się Heather chłopiec często się śmiał, a co najważniejsze - po raz pierwszy od dawna przemówił.

- Obawiam się, że jedyną cichą osobą w mojej rodzinie jest Dylan — zażartował Toby. - Ale z twoją pomocą jakoś sobie z tą rozwrzeszczaną bandą poradzimy.

I miał rację. W Savannah na ich spotkanie wyszła spora gromadka. Heather, uszczęśliwioną faktem, że znów jest na ziemi, natychmiast przytłoczył tłum obcych ludzi obejmujących ich i ściskających na powitanie. Kolana jej drżały, częściowo z powodu whisky, którą uraczył ją na pokładzie Toby, a częściowo z powodu obawy, że zaraz zostanie uduszona.

Dylan chwycił ją za nogę. Nieświadomy tego Toby mocno podtrzymał jej łokieć. Pochyliła się i wzięła chłopca na ręce. Złapał ją za szyję jak za koło ratunkowe.

- A ten aniołek to na pewno mój bratanek - zagruchał miły głos z południowym akcentem.

Olśniewająca blondynka wyciągała ręce po Dylana. Widać było po oczach, że to musi być siostra Toby'ego. Miały ten sam kształt i były tak intensywnie zielone, jak jego były niebieskie. W ich głębi pobłyskiwało to samo zrozumienie.

Chłopiec zawahał się, a niania wstrzymała oddech.

Kiedy Dylan wreszcie wychylił się w stronę ramion ciotki Imogene, Heather i Toby westchnęli z ulgą.

Jednak napięcie w ramionach Heather wróciło. Jak na mą było tu zbyt wielu Danforthów.

- Poznaj moją siostrę Imogene i mojego brata Jacoba. A to jego żona Larissa. Mój kuzyn Reid i jego żona Tina.

Imogene spojrzała surowo na Toby'ego.

- Dawno już nikt w tej rodzinie nie nazywał mnie Imogene.

Objął siostrę, która trzymała w objęciach Dylana, i zaśmiał się serdecznie. Na pierwszy rzut oka rodzina Danforthów była dużo mniej sztywna, niż można się było spodziewać. I choć ulżyło to Heather, to w pewien sposób skomplikowało jej sytuację.

O ile wiedziała, służący nie powinni lubić swoich państwa.

Toby przedstawił wszystkich dorosłych, ale w pobliżu też kręciło się kilkoro dzieci. Obserwowały lądowanie i witały Toby'ego. Podnosił je do góry, obiecując każdemu prezent, jak tylko rozpakuje bagaże.

Gdy zebrali walizki i wsiedli do limuzyny, Heather wreszcie odetchnęła głęboko.

- Do Crofthaven - polecił kierowcy Toby. Heather wiedziała, że spotka się tam z rzeszą krewnych i znajomych swojego pracodawcy.

By odpędzić wyraz paniki z jej twarzy, postanowił zająć nianię rozmową o Dylanie.

- Byłem naprawdę zaskoczony, że od razu chciał pójść na ręce do Genie.

- I że zechciał zostać z nią na lotnisku - dodała Heather. Imogene czekała na przyjaciółkę, której samolot miał lada moment wylądować. - Twoja siostra wygląda na bardzo miłą.

- Jest miła - zapewnił Toby z dumą typową dla starszego brata. -

Właściwie wszyscy moi krewni są mili. Najgorsze, co mnie spotkało po wyjeździe do Wyomingu, to brak kontaktu z nimi. Choć czasem myślę - dodał z ironicznym uśmiechem - że może i najlepsze.

- Najlepsze? - Niezmiernie zdziwiona Heather spojrzała na niego.

- Nie zrozum mnie źle. Kocham moją rodzinę. Chodzi tylko o to, że nie nadaję się do chodzenia w garniturze ani do żadnych oficjalnych występów, takich jak gala na czwartego lipca, którą wujek Abe zorganizował, by rozpocząć swoją kampanię. Nie przyjechałbym tu, gdyby tata specjalnie mnie o to nie poprosił. Ma ogromne poczucie obowiązku wobec rodziny. Zrobiłem to też dla wujka Abe'a, którego odrzutowiec nas przywiózł.

Choć podejrzewam, że jego motywy nie są tak czyste jak u mojego ojca.

Heather współczująco przytakiwała, kiwając głową. Sama musiała znosić o wiele więcej niż niewygody oficjalnej elegancji, nie wspominając o nieznośnym wpływie rodziny na jej życie.

- Jak udało ci się wyrwać, jednocześnie nie niszcząc rodzinnych więzi? - spytała.

Podczas trzech krótkich dni w domu Toby'ego Heather robiła wszystko, co w jej mocy, by uniknąć bycia z nim sam na sam. Poza tym zawsze miała Dylana, którym należało się zająć. Teraz pierwszy raz byli razem bez towarzystwa chłopca. Poddanie się magicznemu wpływowi Toby'ego było dużo łatwiejsze, niż Heather mogła się spodziewać. Podobnie jak podczas pierwszej wspólnej kolacji przed telewizorem, ogarnęło ją poczucie, że znalazła się w niezwykle przytulnym i wygodnym miejscu, którego za nic nie chciałaby opuścić. Gdyby się nie pilnowała, mogłaby poczuć się członkiem rodziny Toby'ego. Pochlebiało jej i jednocześnie wprawiało w zakłopotanie, że szef traktuje ją bardziej jak przyjaciółkę niż podwładną.

- Moja rodzina akceptuje mnie takiego, jakim jestem. Na szczęście nie próbują mnie wtłoczyć w nic, co do mnie nie pasuje. Przypominają tylko, że wciąż jestem jednym z nich.

- To musi być miłe. - Żałosny ton głosu zdradzał, jak bardzo cierpiała z powodu własnej sytuacji rodzinnej.

- Dlatego doceniam moich najbliższych i staram się ich odwiedzać

przy każdej okazji. To jest ważne również ze względu na Dylana. Dobrze, kiedy dziecko wie, że jest częścią wielkiego drzewa z silnymi korzeniami, a nie tylko jednym z nasion rozsianych po kontynencie.

Heather właśnie tak się czuła. Jak nasionko ciskane przez bezlitosny wiatr. Zazdrościła Toby'emu możliwości układania swojego życia zgodnie ze swoimi pragnieniami, bez lęku, że zostanie za to wydziedziczony. Dylan miał szczęście, że urodził się w takiej rodzinie.

Wyjrzała za okno. Dotąd nigdy nie była w Savannah. Jak sugerowała sama nazwa, dźwięcznie brzmiąca delikatnymi sylabami, było to miasto, w którym musiało żyć się cudownie. Powietrze przesyciła woń kwitnących magnolii o kwiatach wielkich jak męska dłoń. Kwiaty leżały na asfalcie wzdłuż wysadzanych drzewami ulic, które, w miarę jak oddalali się od lotniska, traciły nowoczesny charakter.

Obfity w bogatą roślinność krajobraz Południa ostro kontrastował z otwartymi przestrzeniami Wyomingu. Podążali wzdłuż rzeki Savannah, która meandrowała przez miasto. Przypominała Heather stateczną damę, która nie zdążyła spieszyć do celu, ale smakuje sam fakt podróży. Kiedy miasto płynnie przeszło w wieś, plantacje z domostwami wspartymi na białych kolumnach przywiodły wspomnienie Scarlett O'Hary. Z dystygowanych dębów zwisały festony mchu.

- A jaka jest twoja rodzina? - dopytywał się Toby.

- Cóż, nie wszyscy rodzice są tak wyrozumiali - odpowiedziała cicho.

- Co masz na myśli?

Z natury skryta Heather nie była skłonna mówić o swoich prywatnych sprawach, ale z jakiegoś powodu czuła się bezpieczna, dzieląc się nimi z mężczyzną o tak dobrych oczach. Zapewne krótkie wyjaśnienie pomoże mu zrozumieć jej wstrzeźliwość, którą z pewnością okaże, gdy przyjdzie do spotkania z hordami jego sióstr, braci, kuzynów, ciotek i wujów. Miała też nadzieję, że Toby zrozumie, jak potrzebna jest jej chwila samotności, by dojść do siebie po tak ciężkim dniu.

- Jestem jedynaczką, dlatego cały ten rozgardiasz związany z liczną rodziną jest dla mnie czymś nowym. A moi rodzice, w przeciwieństwie do twoich, umieścili we mnie wszystkie swoje nadzieje i oczekiwali, że spełnię wszystkie ich marzenia. Tak jednak się stało, że bardzo ich

rozczarowałam.

- Nie wyobrażam sobie rodziców, którzy nie byliby dumni z tak wspaniałej, utalentowanej córki - powiedział Toby głosem tak poważnym, że Heather zakręciły się w oczach łzy.

W jego tonie była jednak nie tylko aprobata dla niej, ale coś jeszcze. Czyżby wśród Danforthów zdarzyła się jakaś tragedia? Czyżby ktoś nagle utracił ukochaną osobę?

W każdym razie ta rozmowa niepotrzebnie rozjątrzała rany ich obojga. Toby uciszył jej lęk przed lataniem, ale nie znaczy to, że ma teraz brać na siebie pozostałe problemy niani.

Postanowiła więc zbagatelizować swoją historię.

- To zrozumiałe, wydali tyle na moją edukację... Przerwała, gdyż właśnie mijali starą bramę. Odrzwia z giętego żelaza zdobiła skręcana litera D, symbol posiadłości Danforthów.

- To tu dorastałeś? - Zastygła w osłupieniu.

- Na szczęście nie. Uboga część rodziny mieszka dalej, wzdłuż drogi.

Heather nie wychwytiła żadnej goryczy, więc uznała, że Toby przesadza w słowach. Zarazem uświadomiła sobie, że nie doceniała potęgi dynastii Danforthów. Crofthaven było tak ogromne, a ogrody tak wymyślne, że musiała tu pracować cała armia ogrodników. Zastanawiała się, czy posiadłość sięga aż do oceanu. W duchu postanowiła, że przy pierwszej okazji obejdzie jej teren. Imponująca rezydencja, zbudowana w typowym dla stanu Georgia stylu, była cennym zabytkiem architektonicznym. Powstała ponad sto lat temu i widać było, że jest zadbana. Zmodernizowanie budynku ograniczyło się do zamontowania instalacji elektrycznej oraz kanalizacji. Znać było wielkie starania, by utrzymać całość w niezmiennym stanie.

- Niezwykłe miejsce - powiedziała.

- To prawda... Ale nie wszystko jest tym, czym się z pozoru wydaje. Moi kuzyni mają dużo cieplejsze wspomnienia z czasów spędzonego w domu moich rodziców niż z lat spędzonych tutaj, w domu rodzinnym. Kiedy zmarła ich matka, właściwie zostali odtrąceni przez swojego ojca. Nie okazywał im ciepła i żadnego zainteresowania. Same cegły i zaprawa nie wystarczą, żeby stworzyć dom, tak samo jak pieniądze nie

ukształtują charakteru.

Heather nie mogła zaprzeczyć. Jej palce same poszukały ręki Toby'ego. Kącikiem oka dostrzegła jakiś ruch, który przyprawił ją o gęsią skórkę. Pod masywnym dębem zauważyła kobiecą postać. Było za daleko, by dostrzec coś więcej niż ciemne włosy i strój sprzed ponad stu lat, ale nie było wątpliwości, że ta smutno wyglądająca osoba groziła jej palcem!

I w mgnieniu oka już jej nie było.

- Coś nie tak?

Toby okrył jej dłoń swoją. Była wdzięczna za ciepło jego ręki, bo jej dłoń stała się nagle trupio zimna. Heather już zamierzała spytać Toby'ego, czy też widział tę tajemniczą kobietę pod drzewem, ale zrezygnowała. Na pewno prezentacji swej rodziny nie chciał zaczynać od szaleńców.

A może kobieta występowała w przedstawieniu, którego akcja rozgrywała się podczas wojny secesyjnej? Albo Heather, przemęczona długim, wyczerpującym lotem, poddała się niesamowitej aurze starej siedziby.

Lub też otrzymała ostrzeżenie zza grobu. Wciąż był czas na ucieczkę.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed drzwiami domostwa Crofthaven, kierowca wyskoczył, by wypuścić Heather. Ubiegł go Toby, który przywykł do tego, że sam otwierał sobie drzwi. W ogóle bardzo nie lubił, gdy ktoś mu w czymś pomagał lub go wyręczał.

- Dzięki. - Wręczył hojny napiwek kierowcy. - Życzę miłego dnia.

Gdy Heather wysiadła z wozu, natychmiast zatonęła w śpiewie ptaków i cykaniu świerszczy. Dylan ochoczo wyczekiwał ich na podjeździe. Towarzyszyła mu, o ile Heather mogła się zorientować, co najmniej połowa mieszkańców Savannah.

Zbiegli się do Toby'ego wszyscy, jakby witali syna marnotrawnego, w którego powrót już dawno zwątpiono. Heather nie została zgnieciona, jak się tego obawiała, za to pochłonięta przez tłum wylewający się z ciężkich frontowych drzwi. Danforthowie okazali się jowialni i wylewni. Zdecydowanie woleli niedźwiedzie uściski od pretensjonalnych całusów w powietrze, jakimi witali ją rodzice w tych rzadkich chwilach, kiedy pozwalano jej wrócić do domu.

Toby spojrzał przepaszająco na nianię, co natychmiast wychwyciła czujna Imogene. Heather z trudem dawała sobie radę z nawałem imion i twarzy stłoczonych wokół niej. Jakby błagając o interwencję siły wyższej, wzniosła oczy na wysoki sufit i umieszczone pod nim niezwykle dekoracyjne wiatraki, przywodzące na myśl ekranizacje sztuk Tennessee Williamsa. Pracowały z cichym warkotem. Idący od nich lekki powiew powodował, że szklane zdobienia żyrandoli delikatnie brzęczały.

Toby domyślił się, jak niepewnie czuje się Heather w takim tłoku i gwarze. Objął ją ramieniem.

Odwróciła twarz w jego kierunku, a on pochylił się i szeptał jej do ucha:

- Dziękuję, że jesteś tu dla Dylana i dla mnie. Nie wiesz nawet, ile to dla nas znaczy.

Poczuła na szyi jego oddech. Był chłodniejszy niż otaczające ich rozgrzane powietrze, ale sprawił, że natychmiast odtajała. Od karku aż po opuszki palców przebiegł ją dreszcz. Nagła potrzeba kazała jej przysunąć się bliżej Toby'ego i u niego szukać schronienia. Zapragnęła wielu rzeczy, zupełnie niemożliwych, biorąc pod uwagę jej pozycję wśród tych bogatych i sławnych ludzi. Nie była jedną z nich.

Heather tak już przywykła do tego, że Josef porzucał ją na przyjęciach, by podlizywać się sponsorom i pozwalać się adorować swoim fankom, że zaskoczyła ją troska Toby'ego o jej dobre samopoczucie. Zastanawiała się, dlaczego jest dla niej taki miły. Pewnie wygląda jak osoba przytłoczona nadmiarem wrażeń i dlatego Toby postanowił ją chronić.

Heather poddała się, nie była w stanie zapamiętać wszystkich imion. Dobrze, że włożyła luźne spodnie i bluzkę zamiast szortów, jak planowała. Mogła sobie pogratulować. Jej strój nie był ani zbyt swobodny, ani zbyt elegancki, po prostu w sam raz. Uśmiechała się do mężczyzny, który co prawda przywiózł ją tutaj jako swoją służącą, zarazem jednak robił wszystko, co w jego mocy, żeby czuła się gościem.

Thum rozdzielił się, wypuszczając przed siebie szczupłą kobietę. Heather przypomniał się Mojżesz rozdzielający Morze Czerwone. Była w nieokreślonym wieku, jak wiele kobiet z Południa. Włosy upięła w sposób, który pasował do każdej epoki. Nosila prostą blado-cytrynową suknię z szyfonu. Z wyjątkiem niebieskich oczu, takich samych jak oczy Toby'ego, była ludzako podobna do Imogene.

- Mama!

Radość promieniała z twarzy Toby'ego, kiedy chwycił matkę w objęcia. Ich miłość do siebie była tak widoczna, że fala zazdrości ogarnęła Heather. Nie pamiętała, żeby jej matka kiedykolwiek witała ją z tak swobodną serdecznością. Ani żeby jej z radością oczekiwała. W rodzinie Burroughsów krew różniła się od wody jedynie kolorem.

Ojciec Toby'ego stał tuż za żoną.

- Synu!

Niewiarygodne. Jakim cudem pojedyncze słowo mogło wyrazić tak



ogromną aprobatę? Miranda Danforth była niezwykle wylewna w powitaniach, natomiast ojciec Toby'ego w ostatniej chwili powstrzymał się od wylewnego rozłożenia ramion. Zamiast tego wyciągnął do syna rękę. Uścisk, jaki wymienili, był pełen wzajemnego szacunku. Heather miała ochotę odwrócić głowę.

- Naprawdę doceniam to, że przyjechałeś. Dałem ci tak niewiele czasu na przygotowania. Wiem przecież, jak dużo masz pracy - powiedział Harold Danforth, a oczy pociemniały mu od wzruszenia.

Toby objął ojca. Czas zatrzymał się na moment.

- Za żadne skarby nie przegapiłbym takiej okazji do spotkania z całą rodziną.

Heather nie czuła się najlepiej, patrząc na tak otwarcie okazywane uczucia. Zastanawiała się, czy nie dałoby się wymknąć.

- A kimże jest ta piękna panienka? - spytał Harold, kierując na nią uwagę i tym samym odcinając wszystkie drogi planowanej ucieczki.

Dobrotliwe niebieskie oczy przyglądały się jej spoza krzaczastych brwi.

- To niania Dylana - pośpieszyła z odpowiedzią Genie, zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta. - Heather Burroughs. Powinieneś pamiętać ją z koncertu w Civic Center parę lat temu.

Zaskoczona, że siostra Toby'ego nie tylko pamięta jej imię, ale i wie o niej co nieco, posłała mu płochliwy uśmiech. W przeciwieństwie do ojca Heather, który był delikatnej budowy i gwałtownego charakteru, Harold Danforth był potężnym mężczyzną i miał zaraźliwy uśmiech. Niższy od obu synów, jednak silny tak fizycznie, jak i psychicznie, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

- Miło mi pana poznać - odpowiedziała Heather, czując zawiązującą się między nimi nić sympatii.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Słowa, które mogły gdzie indziej zabrzmieć jak wyuczona, nic nieznacząca formułka, wlały w Heather niezwykle ciepło. Wyglądało na to, że starszy pan był, w pełnym tego słowa znaczeniu, prawdziwym dżentelmenem z Południa. Za nic nie mogła pojąć, dlaczego Toby wolał porzucić tak oddaną i kochającą rodzinę i samotnie zamieszkać tak daleko. Obawiała się, że wbrew swej woli przywiąże się do tych ludzi.

Miała jednak nadzieję, że będzie zbyt zaabsorbowana opieką nad Dylanem, by do tego doszło.

Niemożliwością było stwierdzić, które z dzieci należały do rodziny, a które były tylko z nią zaprzyjaźnione. Na tak wielkiej posiadłości bez trudu można by założyć przedszkole. Heather z radością zgłosiłaby się na opiekunkę, gdyby w ten sposób uniknęła uczestnictwa w wielkiej feacie rozpoczynającej kampanię wyborczą Abrahama Danfortha. Miała szczerze dosyć sztywnych, oficjalnych wystąpień, podczas których musiała zabiegać o uwagę bogatych protektorów. Teraz dla odmiany byłoby miło wmieszać się w tłum.

Z zamyślenia wyrwał ją dziecięcy pisk dobiegający nie wiadomo skąd. Chłopiec w wieku Dylana zjeżdżał po poręczy spiralnych schodów, której blask zdradzał sumienne polerowanie dziecięcymi siedzeniami przez ponad stulecie. Odskoczyła przestraszona, że chłopiec wylądował na niej. Toby zrobił krok do przodu i chwycił malca w locie.

- A to kto? - spytał wpatrując się w twarz, która przypomniała mu dzieciństwo. - Pewnie Peter Pan?

Chłopiec zachichotał.

- Nie Peter Pan, tylko Peter!

Jego ojciec podszedł i zwichrzył mu włosy.

- Toby, poznaj swojego bratanka.

Duma w jego głosie była niezaprzeczalna. Tak jak i miłość do dziecka. Heather wywnioskowała, że Toby nie miał dotąd okazji poznać swojego psotnego bratanka. Podobało się jej, z jaką łatwością nawiązywał kontakt z dziećmi, nie tylko ze swoim synem. Taki mężczyzna z pewnością ma dość miłości, by obdarzyć nią niejedno dziecko, a Dylan na pewno by się ucieszył, gdyby miał rodzeństwo. Zapełniłoby pustkę po matce.

Nie, Heather nie miała ochoty wyjść za niego czy związać się w inny sposób.

- Chłopcy dobrze na siebie wpłyną - usłyszała, jak Jacob mówi do brata.

Starszy od Dylana o rok Peter pociągnął go za rękę.

- Chodź, pobawimy się.

Kiedy Dylan spojrział z wahaniem na Heather, uśmiechnęła się do

chłopców i zaproponowała, że pójdzie z nimi. Toby dotknął jej łokcia.

- Jeśli chcesz zostać, na pewno znajdę kogoś, kto pobędzie z dziećmi, dopóki się nie rozgościmy. Wyglądasz na zmęczoną.

- Nie ma problemu.

Myśl o odejściu razem z dziećmi gdzieś daleko od rodzinnego zgiełku wydała się Heather atrakcyjna. Miała nadzieję, że w Crofthaven uda jej się nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Chciała też na własną rękę zapoznać się z tym miejscem.

Poza tym co dobrego przyszyłoby jej z wmieszania się w wyższe sfery. Natychmiast krewni Toby'ego zaczęliby podejrzewać, że interesują ją jego pieniądze. Nieważne, że byli mili. Po co się trudzić i zacieśniać więzi z ludźmi, których najpewniej nigdy już nie spotka?

Przyszedł jej do głowy jeden tylko powód - niewątpliwie pomogłoby to jej zrozumieć lepiej Dylana. No i jego wprawiającego w zakłopotanie ojca. Nie bardzo wiedziała, dlaczego wygląda teraz na tak bardzo rozczarowanego.

- Towarzystwo rówieśników dobrze mu robi - nalegał Toby, a uparcie zaciśnięte szczęki nie wróżyły dobrze próbom oporu.

- Ależ pozwól jej iść - upomniała brata Genie i zwróciła wzrok na Heather. - Rozejrzyj się dokoła, a my powspominamy stare czasy. Na pewno znudziłyby cię te opowieści, jakimi mój brat z pewnością uraczy mojego męża.

Heather rzuciła siostrze Toby'ego spojrzenie przepelnione wdzięcznością. Nie spodziewała się pomocy z jej strony.

- Ale - dorzuciła Genie słodkim głosem - oczekuję, że będziesz towarzyszyć Toby'emu podczas uroczystości. Jeśli pokaże się sam, zostanie stratowany przez piękne kobiety, odwracając tym samym uwagę od wuja Abe'a i jego wielkiego politycznego przemówienia. - Protesty Toby'ego nie zrobiły na Imogene żadnego wrażenia.

Jednak Heather wciąż próbowała się wykręcić:

- Ale czy Dylan nie będzie...

Genie w zarodku ucięła dalszą dyskusję. Miała stanowczą i upartą minę, w czym niezwykle upodobniła się do starszego brata. Ta delikatna osoba była żywym dowodem, że kobiety Południa nie bez przyczyny nazywa się Stalowymi Magnoliami.

- Nie martw się o Dylana. Nic mu nie będzie. Wujek Abe zatrudnił wykwalifikowane opiekunki do dzieci. Poza tym przewidziano różne atrakcje, na przykład klauni i magicy, więc maluchy będą miały co robić przez cały czas trwania imprezy.

Niemal niedostrzegalnie do rozmowy włączyła się Miranda. Ta niezwykła kobieta wpływała na wszystkich kojąco, co świadczyło o wieloletniej wprawie w gaszeniu sporów.

- Ależ moja droga, w każdej chwili będziesz mogła sprawdzić, czy Dylan cię nie potrzebuje. Dla mnie to zupełnie zrozumiałe. A my skorzystamy z okazji, by poznać cię bliżej. W końcu jako niania Dylana należysz teraz do rodziny. Byłabym zachwycona, gdybyś zatrzymała się w naszym domu. Trzeba pojechać kawałek dalej tą samą drogą, którą tu przybyliście. Rozpolitykowane towarzystwo będzie na pewno bardzo hałaśliwe, natomiast u nas jest znacznie spokojniej. To dużo lepsze warunki do zawarcia bliższej znajomości z wnukiem.

Nie można było odmówić tak grzecznemu zaproszeniu. Heather jeszcze mocniej poczuła, jak bardzo brakuje jej takiej matki. Wiedziała, że Mirandą Danforth kierowała zwykła serdeczność, ale i tak miała ochotę się rozplakać z żalu nad sobą. Dotąd z rodziną kojarzyły jej się jedynie nieludzkie wymagania oraz bezwarunkowy przymus ich spełniania. Pochlebiała jej myśl, że ktoś chciałby ją poznać ze względu na nią samą.

- Jeśli jest pani pewna, że nie będę przeszkadzać... - Heather starała się, by głos nie zdradził, jak bardzo jest wzruszona. - To bardzo miłe z pani strony.

Odpowiedziały jej chóralne zapewnienia, że skąd, że absolutnie, w żadnym wypadku nie będzie przeszkadzać. Matka i córka wymieniły ukradkiem spojrzenia, ale Heather nie była ich świadoma. Choć bardzo tego nie chciała, tak czy inaczej znalazła się centrum uwagi.

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

Toby zdołał się powstrzymać i nie poluzował krawatu. Był przekonany, że wymyślono go na pohybel rodzajowi męskiemu. Jako mały chłopiec żywiołowo opierał się uczestnictwu w oficjalnych uroczystościach, takich jak dzisiejsza gala, podczas której miano zbierać fundusze na kampanię. Toby wolał zapach końskiego potu od mdlących perfum unoszących się w westybulu hotelu Twin Oaks. Jego podniebienie też nie ewoluowało na tyle, by docenić smak kawioru wypełniającego kryształowe misy strategicznie rozmieszczone wokół szklanych rzeźb. Wciąż wolał pieczone kurczaki od rybich jajeczek. Bardziej wyglądały na przynętę niż kolację. Nie wspominając już o tym, że pragnienie dużo lepiej gasi piwo niż wytrawny szampan.

Zamarł z na wpół uniesionym kieliszkiem na widok czarującej istoty, która pojawiła się w pokoju. Serce uderzyło mu mocniej, a potem zatrzymało się w bezruchu. Para zamglonych, szarych oczu na szczęście na razie go nie wypatrzyła. Dzięki temu nie zrobił z siebie kompletnego głupca i nie wylał szampana na Jacoba, który akurat z nim rozmawiał.

- A on na to...

Toby udał zainteresowanie i pokiwał głową na znak, że słucha, ale tak naprawdę nie spuszczał oka z błękitnej sylwetki przeciskającej się przez zatłoczoną salę. Pomimo tego, że zawsze widział Heather ubraną w dżinsy i workowaty podkoszulek, nie mógł nie dostrzec, jak piękną nianię ma jego syn. Satynowa suknia, jaką wybrała na dzisiejszą galę, nie była już tak skromna. Podkreślała jej urodę tak uderzająco, że nie było osoby, która nie patrzyłaby na Heather.

Teraz nie wyglądała ani trochę na nianię. Jeśli przypominała kogoś Toby'emu, to tylko Królową Śniegu, z tak Wielką godnością zbliżała się do niego. Suknia leżała na niej idealnie. Z pewnością została zaprojekto-

wana specjalnie dla niej, pomyślał. Klasyczna kreacja, zdobiona haftem i koralikami, połyskiwała przy każdym kroku.

Rozcięcie tkaniny ukazywało zgrabne i niezwykle długie, jak na niski wzrost Heather, nogi. Z trudem oderwał od nich wzrok, po to jedynie, by dostrzec twarze mężczyzn wpatrzone w zjawisko płynące przez hol.

Jacob dał bratu kuksańca w bok i spytał:

- Gdzie ona się dotąd podziewała?

- Pewnie sprawdzała, co u Dylana - odparł Toby. Odczuł dumę, gdyż udało mu się wypić łyk szampana i nie zakrzusić się. Opróżnił kieliszek i odstawił przechodzącemu kelnerowi na tacę. Nie chciał, by brat zauważył, jak drżą mu ręce, wcisnął je więc w kieszenie i oparł się o marmurową kolumnę, przybierając lekceważącą pozę.

- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło - odparował Jacob. - Nie wszystkie kobiety są podobne do Sheili.

- Tylko mi nie mów, że Genie wciągnęła cię do swoich intryg.

- No co ty, jakie znowu intrygi!

Wprawdzie po twarzy Jacoba przemknął szelmowski uśmieszek, ale jego życzliwy sposób bycia zachęcił Toby'ego do kontynuowania tej rozmowy. Poczł się jak przed wielu laty, gdy leżąc w piętrowym łóżku, po zgaszeniu światła wyjawiali sobie największe tajemnice.

- Boję się, że zaczniecie wywierać na mnie presję - zaznaczył jednak stanowczo, by nie było żadnych wątpliwości.

- Daj spokój, o żadnej presji nie ma mowy - zdecydowanie stwierdził Jacob. - Jaki sens popychać kogoś do zrobienia czegoś, na co delikwent nie ma ochoty? Coś ci jednak powiem, braciszku. Bardzo cenilem sobie wolność i długo ze wszystkich sił unikałem małżeństwa, a jednak okazało się ono najlepszą rzeczą, jaka spotkała mnie w życiu. Nie lubię dawać rad, ale mam nadzieję, że weźmiesz sobie moje słowa do serca. Nie pozwól, żeby jedno złe doświadczenie odstraszyło cię od szczęścia. Znaleźć dla siebie miejsce W dziczy Wyomingu to jedno, lecz odizolować się od życia, to coś zupełnie innego.

Ponieważ usłyszał te słowa od brata, który kierował się szczerą troską, Toby zdecydował, że nie da mu w zęby, co zrobiłby w przypadku każdego, kto odważyłby się skrytykować go tak surowo. Dlatego po prostu odsunął się, kiedy jego szwagierka Larissa, uśmiechając się

przepraszająco do Toby'ego, wzięła swojego męża pod ramię i pociągnęła go na parkiet. Przeszło go ukłucie zazdrości.

Łatwo było bratu pouczać go o małżeńskim szczęściu, skoro właśnie wrócił z miesiąca miodowego i nigdy nie zaznał gorzkiego rozvodu. Małżeństwo Larissy i Jacoba nie było oparte na oszustwie. Jego żona nie kłamała, że stosuje pigułki antykoncepcyjne, by złapać na ciążę bogatego męża. Jacob nigdy nie miał złamanego serca i nigdy żadna kobieta, śpiesząc do światowego życia, nie naraziła na ciężką traumę jego syna. Tak ciężką, że Dylan schował się w sobie i przestał mówić.

Ani też nie odebrała mu wiary w małżeństwo. Takie jak to, które tworzyli jego rodzice przez tyle cudownych lat. Trwałość ich związku była dla niego czymś oczywistym przez wszystkie lata dzieciństwa i dorastania. A to, że jego żona nie miała najmniejszej ochoty pracować nad rozwiązaniem konfliktów, wciąż uwierało. Toby nie zazdrościł bratu, tylko tęsknił do czegoś tak cudownego, co przydarzyło się Jacobowi. Bał się, że to nierealne marzenie. Dużo łatwiej było odwrócić się od miłości, niż ryzykować, że znów zostanie zraniony.

- Czy coś się stało? - spytała Heather, stając za nim i przyglądając się jego ściągniętym brwiom.

Zupełnie nieświadoma własnego uroku, upięła włosy luźno na karku. Kilka niesfornych kosmyków okalało jej twarz, dodając podkreślającej kobiecość fryzurze dziewczęcego wdzięku.

Potrząsnął głową i powściągnął przemożną chęć dotknięcia jej włosów i sprawdzenia, czy są tak jedwabiste miękkie, na jakie wyglądają.

- Nic takiego, po prostu zapało mi dech w piersiach. Wyglądasz zabójczo. Jeśli będziesz tak miła i zostaniesz przy mnie przez resztę wieczoru, to z pewnością twoja uroda zniechęci wszystkie samotne kobiety, ściągnięte tu przez moją matkę i siostrę, do podrywania mnie. Od kiedy szalony romans Genie zawiódł ją przed ołtarz u boku mężczyzny z jej snów, ma nadzieję na powtórkę w moim wykonaniu.

- Rozumiem, że nie wierzysz w szalone romanse. - Spojrzała na niego uważnie.

Kto mógłby przypuszczać, że mężczyzna świetnie wyglądający w znoszonych dżinsach będzie tak oszalamiający w sztywnym na miarę

smokingu? Z pewnością mógłby zarabiać na życie jako model. Nie jako jeden z tych pięknych chłopców grających w siatkówkę plażową. Bardziej pasował do reklam wymagających twardych, szorstkich mężczyzn. Heather wyobraziła sobie jego pełną charakteru twarz na tle surowego pejzażu Gór Skalistych albo jak gra w ruletkę w Monte Carlo, ubrany w ten sam smoking.

Albo tylko w bieliznę, w reklamie bezwstydnie wykorzystującej jego seksapil do sprzedaży jakiegoś produktu...

Szampan wyglądał tak kusząco, że nabrała ochoty na spłukanie nieprzyjemnej suchości w gardle. Jednak grzecznie odmówiła przyjęcia kieliszka. Poznała Josefa w podobnych okolicznościach. Niestety kieliszek szampana zamącił jej zdolność oceny i mężczyzna, którego wybrała na swojego mentora, wkrótce stał się jej dręczycielem.

- Wybacz mi, ale nie jestem w nastroju do romansowania.
- Nie musisz przepraszać. - A już na pewno nie mnie, dodała w

duchu.

Heather nie miała najmniejszego zamiaru wtrącać się w prywatne życie swojego szefa, w zamian licząc, że Toby odpłaci tym samym i wykaże szacunek dla jej życia osobistego. Mimo że praktycznie ono nie istniało.

Toby wyczuł zmianę jej nastroju, dlatego szybko zmienił temat:

- Jak sobie radzi Dylan?

Heather uśmiechnęła się na samą myśl o Dylanie i Peterze ganiających się po nadmuchiwym placu zabaw, który umieszczono na dziedzińcu.

- Miałeś rację. Wciąż nie mówi, ale on i Peter stali się nierozłączni. Wygląda na to, że doskonale rozumieją się bez słów.

- A kto powiedział, że to szkodzi związkom międzyludzkim? Do diabła, żadne słowa nie powstrzymały matki Dylana od zostawienia nas obu, a gwarantuję ci, że wypowiedzieliśmy ich wystarczająco wiele.

Heather, dostrzegła, że Toby natychmiast ugryzł się w język. Ale ten gniewny wybuch wyjaśnił jej tak wiele, a do tego jeszcze bardziej zmiękczył serce. Na wspomnienie fotografii Sheili, która wciąż stała na fortepianie, Heather zaczęła się zastanawiać, czy nie jest tak, że mimo okropnych przeżyć Toby nadal kocha swą byłą żonę...



- Nie mieliście przyjaznego rozwodu? - spytała delikatnie.  
- To sprzeczność sama w sobie. Konsekwencje decyzja Sheili najtrudniejsze były dla Dylana. Pomijając dzień twojego przyjazdu, nie wypowiedział ani słowa od odejścia matki.

- Przykro mi.

Serce Heather wyrywało się do niego. Nie była ekstrawertyczką, nigdy nie zachowywała się wylewnie, nie okazywała emocji, a jednak nie mogła się powstrzymać od położenia dłoni na policzku Toby'ego. Współczujący gest zamienił się zniechęca w czyn ryzykancki, wprawiając ją w drżenie. Toby poruszył się gwałtownie i chwycił ją za nadgarstek. Ten mężczyzna bez wątpienia mógł złamać jej rękę jak zapalkę i wyglądał, jakby miał na to ochotę. Albo chciał jej pokazać, że przekroczyła niewidoczną granicę pomiędzy pracodawcą a podwładną. Zrozumiała, że puści ją dopiero wtedy, gdy będzie na to gotowy. Było to doświadczenie nie tyle przerażające, co pobudzające, i to o treści niezaprzeczalnie erotycznej. Siła uścisku pasowała do błysku pożądania, który zmienił kolor oczu na podobieństwo burzowych chmur zasnuwających gwałtownie błękit nieba.

- Nie rób tego - ostrzegł ją.

Zespół zakończył wolny kawałek i zrobił chwilę przerwy przed następnym. Heather wyczuwała puls Toby'ego bijący w opętańczym rytmie. Sama równie podekscytowana, nie spuściła wzroku.

Żywiółowa cajuńska piosenka zaczęła się zacinaniem skrzypiec i wtórującym im akordeonem. Była podniecająca i groźna zarazem. Nauczyciele i rodzice Heather zrobili wszystko, by trzymać ją z dala od takiej „prostackiej i wulgarnej” muzyki, ale w nocy, z uchem przy cichutko włączonym radiu, pozwalała sobie śnić swoje własne sny, a stopą wybijała rytmy w takt takich właśnie prostych, radosnych dźwięków. Wyglądało na to, że żywiółowi Danforthowie znajdowali się na przeciwległym biegunie niż jej pozbawiona wszelkich namiętności rodzina. A także przyszły wirtuoz muzyki poważnej, panna Heather Burroughs.

Lecz teraz nie myślała o swym klasycznym wykształceniu. Ta muzyka napędzała wyobraźnię i sprawiała, że krew w żyłach krążyła szybciej.

Zauważyła, że spojrzenie Toby'ego ześlizgnęło się do jej ust. Z trudem powstrzymała się od nerwowego ich zwilżenia koniuszkiem języka. Ten nawyk pochodził z pierwszych lat w szkole.

- Nie rób tego - ostrzegł ją ponownie. - Nie baw się ogniem, jeśli nie wiesz, co może od niego zapłonąć.

Heather otworzyła usta, by zaprotestować, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Bardziej pewna siebie kobieta z pewnością uwolniłaby już rękę albo nawet wymierzyła policzek w odpowiedzi na to aroganckie spojrzenie. Oniemiała Heather mogła jednak tylko bezradnie patrzeć, jak Toby podnosi jej rękę do ust i ją całuje. Dla kogoś z boku mogło to wyglądać na dżentelmeński gest, ale Heather ledwo mogła powstrzymać uginające się kolana. Jego wąsy łaskotały i rozpały ten ogień, przed którym ją ostrzegał. Intrygowały ją od dnia, w którym oczyściła je z okruszków czekoladowych ciasteczek. Nigdy dotąd nie całowała się z wąsatym mężczyzną...

Jak bardzo jest zmieszana, zdradził ją gwałtowny wdech. Toby uśmiechnął się szeroko, ze zrozumieniem. Jakby wiedział, że marzyła o takich pocałunkach pokrywających jej nagie' ciało.

Gdy zmysłowy głos z południowym akcentem zabrzmiał z za jej pleców, poczuła się bardzo zawstydzona.

- Otóż i Tobias Danforth, nierozsądny włóczęga. Myślałam już, żeś przepadł z kretelem i nie ujrzę cię więcej.

Heather wyszarpnęła dłoń i schowała ją za plecami jak dziecko. Obłok słodkich perfum i tafty wkroczył pomiędzy nich. Piękność Południa najwyraźniej czuła się całkowicie swobodnie wśród klanu Danforthów.

Miała pewność siebie cheerleaderki. To oczywiste, że była kapitanem zespołu.

Toby wpadł w równie archaiczny ton.

- Panno Marcie Mae Webster, zapewniam, że wyrosła panna na przednią femme fatale.

Marcie Mae zaśmiała się, a jej śmiech zabrzmiał jak dźwięk małych dzwoneczków. Heather pozazdrościła jej umiejętności czerwienienia się na żądanie. Ta kobieta musiała wyglądać równie dobrze w krótkiej spódniczce cheerleaderki, jak w kreacji z kolekcji drogiego projektanta.

- Ośmielę się powiedzieć, że nieco się zmieniłam od czasu, kiedyśmy chadzali pływać w stawie nago.

Nie mogąc zdzierżyć dalszego flirtu, Heather wymówiła się w stylu Marcie Mae:

- Przypudruję nosek, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Najwyraźniej Marcie, Mae nie miała nic przeciwko temu. Szeroki uśmiech rozciągnął jej usta, pokazując idealnie proste, białe zęby. Ujęła Toby'ego pod ramię i poprowadziła w kierunku grupy starych przyjaciół, którzy rzekomo umierali z pragnienia, by zobaczyć się z nim.

Heather starała się nie uśmiechać z satysfakcją, kiedy Toby posłał jej błagalne spojrzenie znad ramienia. Opresja, w jakiej się znalazł, sprawiła jej jednak satysfakcję.

Jakie to niskie, pomyślała.

Poczucie niższości jeszcze bardziej wzmogła w niej wizyta w ogromnej łazience urządzonej z równym przepychem co reszta hotelu. Umywalki o kwiatowym wzorze lśniły pozłacaną armaturą. Z wysokiego sufitu zwisały kryształowe żyrandole. Kilka białych plecionych krzeseł czyniło pomieszczenie przytulniejszym. Wpatrując się w jedno z wielu lusterek w złotych ramach, Heather rozpoznała w sobie to samo uczucie panicznego lęku, które oznaczało, że zaraz zwymiotuje, zupełnie jak za dawnych czasów przed występem.

Nigdy nie czuła się na swoim miejscu, występując przed publicznością. Niektórzy z pewnością doceniliby bezlitosny trening, jakiemu została poddana przez nauczycieli, jednak i tak nie dorównywał on temu, jaki otrzymała w rodzinnym domu. Stała presja, jakiej ją poddawano, zraniła wrażliwą duszę tak głęboko, że porzuciła to, do czego miała talent.

Odkręciła kurek z zimną wodą i pochyliła się, by ochłapać twarz.

Nagle zorientowała się, że nie jest sama. W ciemniejszym kącie łazienki ujrzała dwie kobiety. Jedna z nich szlochała tak rozdzierająco, że Heather ogarnęło współczucie. Ponieważ jednak z zasady nie wtrącała się w sprawy innych ludzi, zamierzała wymknąć się niepostrzeżenie. Udałoby jej się z pewnością, ale druga z kobiet, która usiłowała pocieszyć swą towarzyszkę, rzuciła w kierunku Heather błagalne spojrzenie i cicho poprosiła o chusteczkę.

Heather wzięła jedną z ręcznie malowanego porcelanowego pojemniczka i podeszła do nich. Kobieta, której podała chusteczkę, była pewnie rówieśnicą Heather. Ubrana w przepiękną suknię z białej satyny podkreślającej jej drobną figurę, wyglądała na anioła stróża.

- Natknęłam się na to biedactwo, jak płakała. - Mówiła z lekkim europejskim akcentem. - Nie chciałam jej samej zostawiać w takim stanie. Czy może jesteś z nią spokrewniona?

Heather potrząsnęła głową i skierowała się do drzwi. W tej właśnie chwili zrozpaczona kobieta uniosła ukrytą w dłoniach głowę, demonstrując dwie smugi tuszu do rzęs na twarzy zbyt młodej i pięknej jak na tak wielką rozpacz. Nie była wystarczająco dorosła, by nazwać ją kobietą, ani na tyle młoda, by nazwano ją dziewczynką. Znajdowała się w wieku przejściowym, gdzie tak żałośnie mieszają się wpływy dojrzałości i dziecinnych zachowań. Heather domyślała się, że jest w wieku, w którym na Południa dziewczęta uczestniczą w swoich pierwszych balach, wprowadzających je w towarzystwo.

Nastolatka łamiącym się głosem zaczęła zwierzać się obcym kobietom:

- Wam to się może wydać śmieszne, ale nic, co zrobię, nie zadowala mojego ojca. Absolutnie nic.

- To wcale nie brzmi śmiesznie - zapewniła ją Heather miękkim tonem. - To samo mogę powiedzieć o sobie.

- I ja - dodała kobieta w bieli.

Zaskoczone kobiety przypatrywały się sobie. Okazało się, że łączy je wspólny problem. W dodatku Heather i kobieta w bieli były mniej więcej w tym samym wieku, a także miały podobne wzrost i figurę. Obie też z natury były ostrożne i zdystansowane, jednak nie potrafiły pozostawić kogoś w potrzebie.

Heather nachyliła się, by zrozumieć pojedyncze słowa przerywane łkaniem.

- Czy uwierzycie, że mój tata naciska na mnie, bym rzuciła się jakiemuś staruchowi w ramiona, bo to pomoże mu uzyskać wielki kontrakt? Czy kiedykolwiek słyszałyście o czymś równie obrzydliwym?

Heather przemknęło przez głowę, że ten staruch może być w jej wieku.

- Przez to czuję się jak dziwka!

To wyznanie wymagało kolejnej chusteczki; Heather miała wrażenie, jakby znalazła się w miejscu, gdzie czas tajemniczym sposobem zatrzymał się w epoce wiktoriańskiej. Jakim człowiekiem musi być ten ojciec, skoro zamierzał dla zysku i ambicji zmusić swoją córkę, by stała się seksualna pułapką.

Nagle przypomniała sobie, jak rodzice przepychali ją przez zatłoczoną salę, by poznał ją maestro Josef Sen-gele, pianista słynący z zamieniania młodych talentów w dorosłe sławy.

- Wiem, co czujesz - powiedziała kobieta w bieli. Jej nieskazitelną twarz przeszył skurcz bólu. Mówiła ze smutkiem i rezygnacją. Oczy tak świetliste jak szmaragdy w jej kolczykach zmiękły, gdy położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. - Czasami po prostu musisz robić, co trzeba. Nieważne, jak bardzo jest to nieprzyjemne, ale interesy rządzą się swoimi prawami, a rodzina jest rodziną. Cokolwiek się stanie, masz jednego ojca.

Dziewczyna zaczęła rozważać radę i pociąganie nosem ustało.

- No dobrze... Zostanę tak długo, żeby ugłaskać tatusia i jednocześnie się nie skompromitować.

Heather miała za sobą tak wiele zobowiązań podjętych i zrealizowanych w imieniu swoich rodziców. Doskonale też знаła pragnienie zadowolenia kogoś, kogo szacunku i tak nigdy się nie zdobędzie. Dlatego nie mogła teraz milczeć.

- Albo - położyła dłoń na drugim ramieniu dziewczyny - zamiast przez lata odkładać to, co nieuniknione, przez te wszystkie długie lata, które odbiorą ci poczucie własnej wartości, możesz temu stawić czoło i zacząć żyć sama dla siebie. Wierz mi, lepiej zaryzykować, że wyrzekną się ciebie rodzice, niż wyrzec się siebie samej.

Choć słowa te były skierowane do płaczącej dziewczyny, kobieta w bieli gwałtownie zbladła. Była głęboko poruszona i zraniona.

- Musisz się sama nad tym zastanowić - powiedziała do dziewczyny. - Cokolwiek zdecydujesz, nie miej żadnych wyrzutów sumienia.

Heather kiwnęła głową potakująco. Dlaczego poczuła tak silną więź z tymi dwiema nieznanymi kobietami? Wiedziała tylko, że je połączyło coś tajemnego.

Nagle wkroczenie do łazienki dwóch eleganckich matron zniszczyło intymny nastrój. Dziewczyna westchnęła.

- Kusi mnie, żeby uciec stąd. Wtedy nie będę musiała podejmować żadnej decyzji.

Przez całe dotychczasowe życie Heather skazana była na płytkie, zdawkowe kontakty z ludźmi. Tęskniła za prawdziwą przyjaźnią, choćby miała trwać tylko ten jeden trudny wieczór.

- Jestem naprawdę ciekawa, jak to się dla ciebie skończy - powiedziała do dziewczyny. - Może później spotkamy się i poszukamy dobrego miejsca do obejrzenia fajerwerków?

Dziewczyna skinęła jej przeprasząco głową, a kobieta w białej sukni zaśmiała się, sięgając po srebrną torebkę i przekręcając gałkę w drzwiach.

- Wątpię, czy ktokolwiek mógłby je przegapić - wyszeptała konspiracyjnie, zanim zniknęła w tłumie.

Heather żałowała, że nie spytała jej o imię.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

Otoczony przez gromadkę samotnych, nadmiernie uperfumowanych kobiet, Toby z dużej odległości uważnie przyglądał się niani. Obawy, że, nieśmiała z natury, będzie źle się czuć w ostentacyjnym blichtrze przyjęcia, okazały się pozbawione podstaw. Heather wyglądała nadzwyczaj swobodnie i atrakcyjnie w swej oszłamiającej sukni. Można by pomyśleć, że jest wprost stworzona, by królować na takich spotkaniach. Takie imprezy uwielbiała jego była żona. I dla nich w końcu go zostawiła.

Toby zwilżył zasychające gardło drugim kieliszkiem szampana. Brakowało mu choćby kropli staromodnej, dobrej whisky. Ale wątpił, czy nawet Johnnie Walker uczyniłby łatwiejszym do zniesienia widok Heather, śmiejącej się z czegoś, co jeden z jego kolegów szkolnych wymruczał jej do ucha. Freddie Powell reprezentował „stare pieniądze” i choć ich znajomość w czasach dzieciństwa naznaczona była poczuciem wyższości, Toby nigdy nie czuł do niego nienawiści. Aż dotąd. Obraz Freddiego prowadzącego Heather na parkiet spowodował, że Toby, nieświadom tego, napiął mięśnie. Kiedy ręka kumpla znalazła się na jej talii, palce Toby'ego ścisnęły kieliszek.

Sukienka bez pleców może znacznie bardziej intrygować niż głęboki dekolt. A wyobraźnia Toby'ego wariowała, zwłaszcza że Heather nie nosiła stanika, a jej skóra miała śmietankowy odcień. Przy całym dystansie, z jakim odnosiła się do niego przez ostatnich kilka dni, było zaskakujące, że nie przeszkadza jej obłapiający ją publicznie obcy mężczyzna. To oczywiście nie była jego sprawa. Heather jest wolną kobietą i może tańczyć całą noc z dowolną liczbą śliniących się idiotów.

A jeśli o to chodzi, to mogła nawet wrócić do Wyomingu z pierścieniem zaręczynowym od innego mężczyzny. O ile tylko nie

zostawi go... to znaczy oczywiście Dylana... samego.

Toby zaklął cicho. Nie czekał, aż piosenka się skończy. Przerwał otaczający go wianuszek kobiet i odszedł bez słowa. Zmieszane panie zaczęły komentować tę nieuprzejmość i kierunek, w jakim podążył ich idol.

Toby nieco zbyt mocno chwycił Freddiego za ramię. Nie chciał jednak zostać zignorowany.

- Odbijany?

Pytanie było czysto retoryczne, jako że jednym płynnym ruchem stanął pomiędzy nimi i objął Heather ramieniem. Freddie mógł tylko się wycofać, co też niechętnie uczynił.

- Ależ cudownie pachniesz. - Toby przyciągnął Heather do siebie. Pachniała stokrotkami i jeszcze czymś diabelskim.

Wpiła w niego wzrok i słodko zakłaskała, naśladując Marcie Mae:

- Zapewniam, panie Danforth, że takie pochlebstwo może dziewczynie zupełnie zawrócić w głowie.

Uśmiech zaigrał w kącikach jego ust. Czyżby ona też się nudziła?

- Sarkazm ci nie pasuje - rzucił od niechcienia, prowadząc Heather, w stronę francuskiego okna, by oddalić groźbę, że teraz z kolei ktoś jemu odbije partnerkę.

Gdy zaczął się wolny, rozmarzony walc, zmieniła temat na bezpieczniejszy.

- Orkiestra jest cudowna.

Nie spuszczała wzroku z Toby'ego, więc nie zauważyła, kiedy opuścili salę balową. Tańczyli teraz pod gwiazdami. Było tu mniej tłoczno i dużo ciszej. Delikatny wietrzyk przesycony zapachem kwiatów magnolii rozwiewał po nocnym niebie cichutką melodie, ale nie był w stanie przynieść ochłody Heather. Cała płonęła. Sklepienie nad ich głowami przecięła spadająca gwiazda, jakby chciała przypomnieć, jaki los czeka gwiazdy, które palą się za gorącym płomieniem.

Byli zupełnie sami. Heather rozmarzyła się. Pamiętała jednak, że Toby, czy tego chciał, czy nie, zawsze będzie ośrodkiem zainteresowania. Nieistotne, jak daleko zamieszkał, więzi rodzinne zawsze będą go trzymać w świetle reflektorów. Genie ostrzegła ją przed natarczywymi paparazzi. Heather nie miała najmniejszej ochoty



wmieszać się w skandal oparty na plotkach i kompromitujących zdjęciach.

Pomimo to zwróciła twarz w kierunku Toby'ego i przez krótką, cudowną chwilę pozwoliła sobie płynąć w jego silnych ramionach. Toby sam rządził swoim życiem i zarazem mądrze dbał o więzi z kochającą go rodziną. Chciałaby wiedzieć, jak mu się to udało. Nie spytała jednak wprost o sposób na tak skomplikowany wyczyn. Zamiast tego zauważyła:

- Wolisz słuchać się tylko swojego własnego rytmu, prawda?  
Toby wyraźnie się speszył.

- Przepraszam, wiem, że okropnie tańczę.

Heather potrząsnęła głową. Był wspaniałym tancerzem. Poruszał się z gracją, a ich ciała pasowały do siebie idealnie. Nie musiała myśleć o swoich stopach. Podejrzewała, że do lekcji tańca zmuszano go, i to na pewno, kiedy był jeszcze mały. Wyobrażała sobie, jak opierał się przemianie z przyszłego kowboja w szarmanckiego dżentelmena.

- Wiesz, co mam na myśli.

- To samo można by powiedzieć o tobie - zareplikował, w świetle księżycy szukając na jej twarzy wyjaśnienia, jak ktoś, kto tak płynnie porusza się wśród ludzi z wyższych sfer, może pragnąć posady niani wśród bezdroży stanu Wyoming.

Nie miał wątpliwości, że taka kobieta jak Heather szybko znuży się drogiem mu, prostym życiem na ranczu. Jego była żona oznajmiła, że odosobnienie doprowadzało ją do szału. Kiedy tylko zorientowała się, że ani prośbą, ani groźbą nie przekona go do zajęcia przez niego właściwej pozycji społecznej, najszybciej jak mogła odwołała przysięgę małżeńską. Jedna z obmierzłych plotek, krążących dziś wieczór, głosiła, że Sheila wraz z jakimś playboyem z Europy wyjechała do Rio, gdzie wesoło przepuszczają hojne alimenty od Toby'ego.

Muzyka zamilkła. Zatrzymał się, by sięgnąć po kosmyk włosów Heather. Dotykając go koniuszkami palców, przyglądał mu się tak uważnie, jakby był ze złota.

Kiedy wierzchem dłoni musnął jej policzek, iskra, która cały wieczór drażniła jej wyobraźnię, wybuchła płomieniem. Choć instynkt kazał jej zwolnić, uciekać i nie oglądać się za siebie, stała jak skamieniała na po-

krytej rosą trawie. Zamarli w bezruchu, ale Heather miała wrażenie, że świat dokoła wpadł w opętańczy ruch wirowy. Toby zręcznie usunął spinkę podtrzymującą jej włosy. Rozsypały się wokół jej ramion, rozbłyskując i chwytając światło księżyca. Mogła zaprotestować przeciwko zniszczeniu kunsztownej fryzury, ale akurat świeca rzymska eksplodowała im nad głowami, sygnalizując początek pokazu fajerwerków.

- Popatrz! - krzyknęła.

Toby nawet nie podniósł oczu, skupiony na cudownym wygięciu pomiędzy szyją a ramieniem, gdzie skóra Heather osiągała biel marmuru.

- Patrzę...

Opuściła wzrok i spotkała oczy tak rozżarzone, że nasuwające myśl o czymś gwałtownym i niepowstrzymanym. Wyobrażała sobie jego pocałunki, ale ogarnął ją lęk, gdy zrozumiała, że Toby zaraz może zrealizować jej marzenia.

To szaleństwo, chciała powiedzieć. Jesteś moim szefem, a ja nianią twojego syna. To nie w porządku. I z pewnością niemądre.

Pomimo to, gdy objął ją ramieniem i przycisnął usta do jej ust, przysunęła się do niego. Z pewnością walczyłaby, gdyby jej kolana nie osłabły tak gwałtownie. Odkryła, że uwielbia dotyk jego wąsów. Wcale nie łaskotały, jak mówiły głupie książki, które, będąc dziewczynką, ukrywała przed rodzicami. Odwrotnie, sprawiały, że czuła się bardziej miękka i kobieca.

Coraz głośniejsz rozbrzmiewały huki. Pokaz wyciągnął ludzi na dziedziniec. Zewsząd dobiegały zachwycone achy i ochy. Rozświetlające niebo miliony tęczyowych iskier były mierną imitacją dreszczy przebiegających po jej kręgosłupie i wielobarwnych eksplozji w jej głowie. Nie całowała się pierwszy raz w życiu, ale nigdy dotąd pocałunek nie sprawił, by pragnęła mężczyzny tak bezgranicznie. Chciała, by poczuł tę samą bezradność wobec potężnej siły, której doświadczyła. Odpowiedziała mu żarliwie.

Toby ze względu na otoczenie z trudem się powstrzymywał. Był pewny, że to obsesja zrodzona z długiego okresu narzuconej sobie samotności.

Dłońmi gładził gorączkowo jej nagie plecy.

- Pragnę cię - wyznał głosem szorstkim od powstrzymanej żądz.

- Teraz.

Głos wewnętrzny nie podsunął jej właściwej odpowiedzi. Zaskoczone spojrzenie Heather wędrowało wśród tłumu gości Abrahama Danfortha, przyciągniętych starannie zaplanowanym pokazem. Otaczali ich widzowie rozłożeni wygodnie na kocach, popijający drinki i miarowo wydający okrzyki Zachwytu. Heather i Toby, zapatrzeni w siebie, nie dostrzegli ich dotąd.

Przerażona, że ktoś sfotografuje ten moment słabości, z jękiem oderwała się od Toby'ego. Nie dość, że dała zrobić z siebie idiotkę Josefowi i musiała znosić szeptki za plecami w jej rodzinnym mieście, to teraz będą plotkować o niej jeszcze w Savannah. O ile znała zwyczaje paparazzich, z pewnością jej hańba znajdzie się jutro na rozkładówkach gazet. Sama im podsunie tytuł: „Najgłupsza kobieta na świecie kolejny raz zakochuje się w nieodpowiednim mężczyźnie”.

Brukowce znikną z półek w małym sklepiku, w którym Toby robi codzienne zakupy, a kiedy Dylan pójdzie do szkoły, wszyscy będą wiedzieć, że niania sypia z jego tatą. Zła na siebie, że poddała się urokowi kolejnego mężczyzny, który ma wpływ na jej przyszłość, Heather odwróciła się i uciekła. Mniej od reporterów, a bardziej od przyznania przed samą sobą, że gwałtownie zakochuje się w Tobym.

Oślepią łzami, nie zauważyła Toby'ego, jak ściga alejką wścibskiego fotografa.

Hotel Twin Oaks wydawał się zupełnie opuszczony. Większość gości, jeśli nie wszyscy, oglądała fajerwerki na zewnątrz. Maszyna polityczna Abrahama Danfortha rozgrzewała się przed zbiórką finansów na kampanię. Heather jeszcze nie poznała przyszłego senatora, zwanego przez prasę Drugim Uczciwym Abrahamem. Wątpiła, by docenił rozgłos, jaki jego kampanii nadadzą jutrzejsze brukowce, ilustrując ją kompromitującymi zdjęciami ich obojga.

Prześlizgnęła się do tylnych drzwi starego hotelu. Drzwi początkowo stawiały opór, ale Heather miała w sobie dość wściekłości, by je otworzyć. Przeszła przez pogrążony w półmroku korytarz, szukając osobnego miejsca, w którym mogłaby wziąć się w garść i zapomnieć o

pocałunku, który wprowadził zamęt w jej duszę. Jeśli nie uda jej się znaleźć pustej łazienki, poszuka skrzydła hotelowego zarezerwowanego dla dzieci. Tylko myśl o serdecznych uściskach Dy-lana mogła ją uspokoić.

Jednak w gmatwaniu korytarzy kompletnie się pogubiła. Ciąg przejść wydawał się nie mieć końca. Z każdym krokiem robiło się coraz ciemniej. Zabytkowe kinkiety zmodernizowano i wymyślne żarówki udawały światło świec. Już miała zawrócić, gdy na samym końcu korytarza ujrzała, że ktoś przyzywa ją gestem ręki.

Postać wyglądała jak tajemnicza dama pod wielkim dębem w Crofthaven w dniu ich przyjazdu. Ponieważ było to przyjęcie oficjalne i wymagano odpowiednich strojów, Heather pomyślała, że pomyliła suknię z epoki z wieczorową. W półmroku wyobraźnia potrafi płatać różne figle.

Mimo to Heather wciąż szła korytarzem jak zahipnotyzowana.

- Czekaj! - zawołała do kobiety znikającej za kolejnym rogiem.

Musiała być już blisko hotelowego holu. Zwolniła. Kiedy minęła zakręt, krzyk zamarł jej w gardle.

Miała przed sobą młodą, ciemnowłosą kobietę, bardzo bladą, o czarnych oczach przepelnionych bólem. Mroczna postać zdawała się unosić w powietrzu. Złoty medalion na jej szyi połyskiwał w migoczącym świetle. Heather nigdy dotąd nie widziała ducha. Cofając się gwałtownie, uderzyła plecami o ścianę. Skuliła się ze strachu.

Miała ochotę uciec z powrotem ciemnym korytarzem, ale omdlałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Jej serce skakało jak oszalałe, a widmo patrzyło na nią boleśnie. Nie poruszając ustami, przekazała Heather wiadomość:

- Nie skrzywdź tego chłopca, tak jak ja skrzywdziłam mojego...

Głos, odbijający się echem w głowie Heather, pozbawiony był południowego akcentu.

- Nie rozumiem - wyszeptała.

- Nie skrzywdź chłopczyka - powtórzyła kobieta - ani swojego serca.

Po tych słowach zniknęła. Heather zaś została sama, zastanawiając się, czy spotkanie z duchem nie miało miejsca tylko w jej wyobraźni.

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Gdy Heather odnalazła drogę powrotną, zaczęła powątpiewać we własne zmysły. Jak inaczej wyjaśnić złudzenie, że spotkała zjawę? Gdyby nie to, że przez cały wieczór ścisła w dłoni szklankę słabego piwa imbirowego, można by o wszystko winić alkohol. Heather domyślała się, że hotel, przepojony niezwykle atmosferą minionych wydarzeń, musi wywoływać w gościach dziwne emocje. W tym szczególnie niszczycielskie wizje zakochania się w szefie.

Fakt, że ta sama kobieta pokazała się jej i w Crofthaven, i w Twin Oaks, wyglądało na kolejny dowód igraszek wyobraźni. Te bzdury o skrzywdzeniu serca były prawdopodobnie reakcją podświadomości na uczuciowy konflikt, w jakim się znalazła. Konflikt między obopólnym pożądaniem a racjonalnym osądem.

Jedynie sensowne wytłumaczenie. Od znudzonego kelnera przyjęła pierwszy tego wieczoru kieliszek alkoholu. Natychmiast wychyliła go jak lemoniadę i odstawiła na tacę. Starannie rozejrzała się dokoła. Wyglądało na to, że pokaz fajerwerków zbliżał się do końca, dając tym samym oficjalny sygnał do zakończenia imprezy.

Głęboki, męski głos przerwał jej rozmyślenia.

- Wszyscy są wciąż na zewnątrz, gdyby była pani ciekawa.

Heather obróciła się i wpadła na potężną męską pierś. Wyciągając szyję, spojrzała w oczy wysokiego, mocarnego mężczyzny. Przyglądał się jej rozbawionymi brązowymi oczami. Zbiło ją to z pantafelku. Miała nadzieję, że nie oczekuje od niej odpowiedzi.

- To nie potrwa długo - ciągnął. - Zaraz Abraham Danforth wygłosi mowę, a potem skończy się przyjęcie. Zostaną jedynie szczególnie uparci, niedobitki pragnące doczekać świtu.

Miała nadzieję, że od niej nikt tego nie oczekiwał. W razie czego jako

wymówki mogła użyć Dylana.

Od kiedy przyjechali do Savannah, wszyscy członkowie rodziny chętnie spędzali z chłopcem czas, wciąż zajmowały go zabawy się z kuzynem Peterem, a jej opieka nad nim właściwie była zbędna.

Wszystko, czego Heather było potrzeba, to jak najszybciej znaleźć się w domu Harolda i Mirandy i zasnąć w wygodnym łóżku. Przy odrobinie szczęścia cała ta noc jutro może wydać się snem.

Jej głos drżał tak samo jak ręce, które schowała za plecami.

- A pan będzie jednym nich? - zaryzykowała pytanie - Będzie pan niedobitkiem, czy tak?

- Tak, proszę pani. - odpowiedział z silnym południowym akcentem.

- Myślę, że tak.

Nie wydał się Heather kimś uwielbiającym bawić się do upadłego, choć przecież oświadczył, że zostanie do końca imprezy z ostatnimi maruderami. Zastanawiała się, kim jest i co tu robi. Uważnie obserwował wszystko i nie przyciągał niczyjej uwagi, a jego twarz nie wyrażała emocji. Podobnie jak jej twarz. Czuła się mu dziwnie bliska. Podała mu rękę i przedstawiła się.

- Michael Whittaker - odpowiedział. - Dobry Boże, pani ręce są zimne jak lód. Czy dobrze się pani czuje? Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

- To zabawne, że tak pan to ujął...

Nagle nogi ugięły się pod nią. Michael chwycił ją za łokieć. Spojrzał na nią z troską i podprowadził do najbliższej kanapy. Usiadł na wprost Heather.

- Co się stało? Potrząsnęła głową.

- Pomyśli pan, że zwariowałam.

- Wątpię.

Twarde spojrzenie towarzyszące tym słowom napełniło ją poczuciem bezpieczeństwa. Wciąż jednak wahała się, czy ma opowiedzieć o dziwnej wizji, która zmroziła jej krew i sprawiła, że zaczęła do siebie mówić. Na wspomnienie nawiedzonego, pogrążonego w mroku korytarza postanowiła upewnić się, czy może mówić bez obaw.

- Na pewno nie jest pan reporterem?

Uśmiech, który przeciął dystygowane rysy, upewnił ją, że jej

podejrzenie jest wysane z palca.

- Jestem konsultantem do spraw ochrony. Można mi zaufać.

Słusznie. Co za szkodę może wyrządzić opowiedzenie historii o duchach obcemu człowiekowi? Nieważne, czy weźmie ją za wariatkę, czy uwierzy. Za kilka dni ona będzie mnóstwo kilometrów stąd, śmiejąc się z tego, jak dała się przestraszyć swojej wyobraźni.

Heather zrobiła powolny wydech i zerknęła na mężczyznę spoglądającego na nią z życzliwym zaciekawieniem.

- Myślę, że zobaczyłam ducha. Jeśli chce to pan tak nazwać. - Nie zauważyła drwiny w jego oczach, więc opowiadała dalej: - To była młoda kobieta. Mroczna, ale nie wyglądała groźnie. I chciała coś mi powiedzieć.

- Co takiego? - Michael nachylił się do niej. Podbudowana jego zainteresowaniem, opisała dziwny strój kobiety i jej przesłanie.

- Nie mogę dokładnie powtórzyć, ale wszystko docierało do mnie głośno i wyraźnie. Widziałam ją już drugi raz. Pierwszy raz z pewnej odległości. Stała pod dużym drzewem. To było w Crofthaven. A teraz w hotelu, kilka minut temu.

- Panna Carlisle - stwierdził bez cienia wątpliwości.

- Zna ją pan?!

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Ale kobieta, którą pani opisała, wygląda tak samo jak tajemnicza dama, która kilka dni temu zaczęła mnie, pytając o drogę do Crofthaven. Byłem wtedy kilka kilometrów stąd. Po tym, jak wskazałem jej właściwy kierunek, usłyszałem, jak mamrotała: „Ojciec, ojciec, ojciec”. Potem straciłem ją z oczu.

Ponieważ jej rewelacje nie spotkały się ani ze współczuciem, ani z kpinami, Heather poprosiła, by opowiadał dalej. Okoliczności były inne, ale sama zjawia przerażająco podobna, włączając w to złoty medalion na łańcuszku opasującym smukłą, białą szyję.

Michael, uściskał ją uspokajająco i przeprosił, mówiąc, że wzywa go niecierpiąca zwłoki sprawa.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - spytał, nim odszedł.

- Na pewno będzie, jeśli trochę się przewietrzę - odpowiedziała z niepewnym uśmiechem.

Toby'emu było przykro, że Heather uciekła, zanim policzył się z reporterem, który przerwał najbardziej romantyczny moment w jego życiu. Na pewno spodobałoby się jej, że chwycił natrętnego dziennikarza za pasek od aparatu wiszący na jego szyi, a potem zniszczył mu film.

- Zmiataj, żaloszny pasożycie! - Dał mu solidnego kopa. Mężczyzna zniknął w ciemności, powtarzając coś nieskładnie o „czytelnikach mających prawo do informacji”.

Kiedy Toby rozejrzał się, chcąc upewnić Heather, że nie ma powodu obawiać się zdjęć w plotkarskiej prasie, ta już dawno zniknęła. Przeszukiwał tłum, przeklinając popularność nazwiska Danforth.

Nie był przygotowany na ukłucie zazdrości na widok Heather w objęciach innego mężczyzny. Miał ochotę dać mu w zęby. Słyszał, że Micheal Whittaker jest bezwzględny. Lata ciężkiej pracy fizycznej, i to nie w klubach fitness sprawiły, że Toby nie miał może mięśni tych rozmiarów, co ochroniarz jego wuja, ale był godnym przeciwnikiem dla każdego, jeśli tylko wzburzyła się w nim krew.

Już miał ściągać marynarkę i zawijać rękawy, kiedy Micheal Whittaker ułatwił mu zadanie i sam się wycofał. Heather odeszła w przeciwnym kierunku. Toby dobrze orientował się w hotelu Twin Oaks i znał odludny taras, do którego prowadziły wybrane przez Heather drzwi na samym końcu sali. A może to był tylko niewinny uścisk, który da się logicznie wytłumaczyć?

Powściągnął ochotę na urządzenie sceny. Zdjęcia z bójki w jutrzejszych gazetach też nie zachwyciłyby Heather ani reszty rodziny.

Toby nie chciał rujnować uroczystości wuja, ale musiał wypróbować siłę uczuć, które obudziła w nim niania jego synka. Nie mógł zrozumieć swojej gwałtownej reakcji na widok Heather z kimś innym. Znali się tak krótko, a do tego już dawno skończył z kobietami. Rzadko odczuwał zazdrość. Jego była żona twierdziła, że nie jest do tego zdolny. Sheila z determinacją starała się doprowadzić go do wybuchu szaleńczej zazdrości, chcąc dowieść, że potrafi wzbudzać pożądanie, ale efekt był taki, że publicznie robiła z siebie idiotkę, a w domu złościła się.

Nawet teraz wiadomość o Sheili i jej transkontynentalnym playboyu wywołała w nim tylko uczucie zadowolenia, że udało mu się właściwie bez szwanku uciec z niszczącego związku.



Bez szwanku, jeśli nie liczyć milczenia Dylana.

Dotychczas Toby rozpaczliwie pragnął wierzyć, że to, co czuje do Heather, to jedynie wdzięczność za pomoc Dylanowi. Jednak pocałunek pod wybuchającymi fajerwerkami całkowicie zniszczył tę iluzję.

Dlaczego ją pocałował? Co też najlepszego zrobił?

Toby nie chciał stałego związku, tak jak nie chciał ugrzęznąć w leniwym życiu w Savannah. Szansa, że uda mu się zignorować swoje uczucia do Heather po powrocie do Wyomingu, była niewielka. Powrót do ich poprzednich kontaktów, do chłodnej relacji pracodawca-pracownica, wymagałby niezwyklej wprost samokontroli. Do diabła, prawie urwał głowy Freddiemu i Michealowi za to tylko, że ośmielili się rozmawiać z Heather, tańczyć z nią i trzymać przez chwilę w ramionach. Biorąc pod uwagę, że słynął z opanowania, nie poszło mu najlepiej.

Konieczni musieli porozmawiać. Będący na uboczu taras, na który poszła Heather, stwarzał ku temu doskonałą okazję. Ta rozmowa na pewno będzie krępująca, być może coś dobrego z niej wyniknie, ale może też spowodować otwarcie prawdziwej puszkii Pandory. Toby zawahał się.

- Tu jesteś!

Głos Marcie Mae zadźwięczał nieznośnie głośno. Chwyciła go za ramię i skierowała w odwrotnym kierunku, oczekując niepodzielnej uwagi.

- Dziękuję - powiedział.

- Za co?

- Za obronienie mnie przede mną samym - brzmiała enigmatyczna odpowiedź.

Prze cały czas ich rozmowy Toby kątem oka spoglądał na mroczniejące wejście na taras, gdzie Heather najpewniej zażywała samotności.

Heather wybrała najmniej oświetlony kąt i tam starała się uporać z zimnymi dreszczami. Żałowała, że nie miała szala, ale o tej porze trudno było przypuszczać, że będzie przydatny. Ozdobna ławeczka, na której usiadła, była nieznośnie lodowata. Marzyła o zanurzeniu się w wannie z parującą wodą i zmyciu ostatnich przeżyć, zanim wsunie się pod piękną,

staromodną kołdrę na łóżku czekającym na nią w domu Mirandy i Harolda.

- Przepraszam, nie chciałbym być niegrzeczny, ale przypomina mi pani osobę, którą kiedyś znałem.

Niespodziewane słowa wytrąciły Heather z marzeń. Do jej samotni zawędrował sam Abraham Danforth. Łatwo go było rozpoznać, bo był na wszystkich plakatach wyborczych wszechobecnych na uroczystości.

Ale nie mówił do niej.

- Czy nazywała się Lan Nguyen?

Kobieta, która wyszła z cienia, była drobnej budowy. Nawet w szpilkach wydawała się niska. Jej ciemne włosy połyskiwały w świetle księżyca.

Heather zorientowała się, że pozostawała niezauważona.

- Tak, właśnie tak - odpowiedział Abraham. - Skąd wiesz?

- Ponieważ jestem jej córką. Mam na imię Lea. Pańską córką, panie Danforth. Dzieckiem, które zostawił pan w Wietnamie.

Heather wciągnęła powietrze. Nie miała zamiaru podsłuchiwać i chciała wyslizgnąć się niezauważenie.

Abraham, zazwyczaj złotousty mówca, zaniemówił.

Heather rozglądała się dyskretnie. Zastanawiała się, czy nie ukrywa się tu jakiś reporter. Albo może to robota kogoś, kto chce zrobić przyszłego senatora. Kątem oka dojrzała Michaela Whittakera zakradającego się na taras przez ukryte drzwi. Miała nadzieję, że słusznie mu zaufała. Kiedy gestem nakazał jej milczenie, z ulgą wykonała polecenie.

Ponieważ Abraham nie zaprzeczył oświadczeniu kobiety, Heather zastanawiała się, czy egzotyczna piękność mówi prawdę. Wszystkie te historie o ojcach i nieznanym im dzieciach...

Jej stosunki z ojcem od kilku lat były tak przesączone wzajemnym rozgoryczeniem, że wprost nie mieściło jej się w głowie, ile odwagi trzeba mieć, żeby podejść do zupełnie obcego człowieka i przedstawić mu się jako jego dziecko. James Burroughs może i przez długie lata odgrywał władającego z oddali patriarchy i wymagał nad wyraz wiele, ale Heather, niezależnie od wszelkiego zła, jakim skażona była jej rodzina, doskonale знаła swoje korzenie.

To oczywiste, że życie porzuconego dziecka Azjatki i białego Amerykanina musiało być wyjątkowo trudne. Ileż słusznego gniewu musi w niej być, jeśli mówi prawdę.

Heather zastanawiała się, jak Abraham wyjaśni swoim dorosłym dzieciom, że mają przyrodnią siostrę. Albo prasie. Czy jego polityczna kariera przetrwa te rewelacje.

Kiedy w końcu przemówił, jego głos drżał.

- Lan... przeżyła? Przeżyła atak na jej wioskę? Myślałem, że nie żyje. Ja...

Lea nie dała mu skończyć.

- Teraz nie żyje.

Jej głos pełen był buntu i gniewu. Zachwiała się na nogach. Michael Whittaker wyskoczył z ukrycia, by ją pochwycić, ratując przed upadkiem. Heather usłyszała, jak szeptał coś cicho do jej ucha, zanim Abraham Danforth doszedł do siebie i przejął kontrolę nad sytuacją.

- Zabierz ją do domu, Michael - powiedział stroskanym głosem. - Zostań z nią, dopóki się z tobą nie skontaktuję. Dopóki nie będziemy wiedzieli, jak sobie z tym poradzić.

Michael wspomniał Heather, że jest konsultantem do spraw ochrony, teraz jednak okazało się, że jest osobistym ochroniarzem Abrahama Danforth, który w tej chwili próbował zapanować nad emocjami. Przed powrotem na zewnątrz całkowicie się kontrolował. Kobieta, która przedstawiła się jako Lea, była z pewnością w dobrych rękach.

Heather, odchodząc, dała Michealowi do zrozumienia, że to, co zobaczyła, zatrzyma dla siebie. Nie chciała przynosić takich wieści Toby'emu. Miał i tak wystarczająco dużo kłopotów i najprawdopodobniej podejrzewałby, że cała historia jest niepotwierdzoną plotką. Abraham Danforth był dużym chłopcem, a Heather uznała, że z pewnością poradzi sobie ze swoim życiem osobistym bez interwencji niani jego siostrzeńca. To nie była jej rola.

Poza tym jeśli wypaplałaby coś o tym zdarzeniu, wizyta w Savannah z pewnością by się przedłużyła, a Heather tęskniła już za osamotnionym ranczem DD i szansą na zbadanie swoich uczuć względem Toby'ego z dala od ciekawskich oczu, wścibskich reporterów i życzliwych, ale wszędobylskich krewnych.

---

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

Scena pomiędzy Abrahamem i kobietą, która przedstawiała się jako jego nieślubna córka, wzmocniła postanowienie Heather, że już nigdy nie pozwoli wykorzystać się jakimkolwiek mężczyźnie. Wygląda na to, że wuj Toby'ego porzucił ze złamanym sercem przynajmniej jedną kochankę. Zostawił ją z niczym, jedynie z dzieckiem, które nieustannie przypominało przeszłość. Heather nie miała wątpliwości, że matka młodej kobiety musiała znosić publiczne i prywatne upokorzenia, podczas gdy Abraham Danforth pędził dostatnie życie, budując swoje imperium.

Przyglądała się Dylanowi zwiniętemu w kłębek na kolanach ojca, podczas gdy szofer odwoził ich na prywatne lotnisko. Odrzutowiec Abrahama czekał, by zabrać ich w powrotną podróż do domu.

Niektóre kobiety nie radzą sobie z odpowiedzialnością, pomyślała. Wygląda na to, że była żona Toby'ego należała do tej kategorii. Ponieważ jednak Heather nie знаła szczegółów, więc uznała, że mądrzej będzie nikogo nie oceniać.

W Savannah nie usłyszała złego słowa o matce Dylana. Naprawdę polubiła rodzinę Toby'ego, choć z początku miała szczerą ochotę zobaczyć w nich nadętych snobów.

Dzień po uroczystości brat Toby'ego, Jacob, jego rodzice, jego siostra Imogene i kuzyn Dylana, Peter, pożegnali się z nimi w domu Harolda i Mirandy.

- Dlaczego już wyjeżdżacie? - Peter nie mógł się pogodzić z ich odjazdem.

Głaszcząc miękkie włosy chłopca, Heather czekała na odpowiedź Toby'ego.

- Choć tu dorastałem i kocham moją rodzinę, mój dom jest pod

szerokim niebem Wyomingu. Niektórzy ludzie słuchają się tylko swojego rytmu, Peter, i tak się składa, że jestem jednym z nich. Możliwe, że jak dorośniesz, też będziesz taki niezależny. A kiedy ten czas nadejdzie, mam nadzieję, że twój ojciec będzie na tyle uczciwy, że pozwoli ci pójść za głosem serca. Tak jak postąpili moi rodzice.

Heather nie mogła sobie wyobrazić, jak to jest mieć takie bezwarunkowe poparcie, które dla Toby'ego było oczywistością. Gdyby mogła wybrać sobie rodziców, wybrałaby Harolda i Mirandę. Toby miał rację, jego matka nie pozwoliła jej ani przez chwilę czuć się służącą. W obecności Mirandy Heather czuła się tak swobodnie, jak nigdy w swoim rodzinnym domu.

Każda rodzina ma swoje problemy. Nikt by nie zgadł, że Miranda i Harold przeżyli okropną tragedię. Siostra Toby'ego, która należała, by Heather, tak jej jak przyjaciele, nazywała ją Genie, opowiedziała o porwaniu przed kilku laty ich młodszej siostry Victorii. Pomimo upływu lat, mimo tego, że trop dawno już wystygł, a statystyki policyjne dotyczące osób zaginionych były przygnębiające, rodzina nigdy nie porzuciła nadziei, że Victoria Danforth któregoś dnia wróci.

Wyrwa w drodze i połysk czarnej alpaki wyrwały ją z zamyślenia. Pod dużym dębem rozdzierająco płakała kobieta. Serce Heather stanęło na moment, gdy ich spojrzenia zetknęły się. Odległość osłabiła wrażenie, ale czarne oczy najwyraźniej ją świdrowały. Była to bez wątpienia ta sama zjawa, która dręczyła ją w mrocznych korytarzach Twin Oaks. Heather dotąd pamiętała wszechogarniające uczucie grobowego chłodu.

- Oto twoja droga do domu - powiedziała cicho, przypominając sobie rozmowę z Michaeliem Whittakerem.

- Mam nadzieję, że zawsze ją znajdę - włączył się Toby.

Heather nie wyjaśniła, że jej słowa nie były skierowane do niego. Nerwowo wskazała palcem za okno i spytała:

- Powiedz mi, co tam widzisz? Westchnął, nim odpowiedział.

- Moją przeszłość. Tajemnicza postać zniknęła.

Dylan spokojnie drzemał. Pomyślała, że to dobry moment, żeby spytać Toby'ego, co wie o rodzinnym duchu. Wyglądał na zaskoczonego tematem, ale nie potraktował go lekceważąco.

- Historie rodzinne opowiadają o duchu młodej kobiety, zatrudnionej

jako guwernantka do dzieci Hirama Danfortha około 1890 roku. Wszystko, co wiemy, to że nazywała się panna Carlisle i zginęła tragicznie na drodze do Crofthaven, kiedy powóz przewrócił się w ciemności. - Toby przerwał, by spojrzeć na Heather. Wziął jej ręce w dłonie. Były zimne jak lód. - Najprawdopodobniej pochowano ją pod wielkim dębem.

Krew odpłynęła z jej twarzy. Wiedziała, że mówił prawdę. Czuła, że coś ją łączy z nieszczęsną guwernantką. Panna Carlisle celowo ją odszukała i przekazała radę jak opiekunka opiekunce. Guwernantka czy niania, co za różnica?

- Przemówiła do mnie - powiedziała Heather cicho. Toby objął ją, a ona przyjęła to z chęcią. Ledwo była świadoma, że opuścili teren Crofthaven. - Czy myślisz, że chce mnie nawiedzić?

Czując, jak cała drży, uśmiechnął się do niej pocieszająco. W dzieciństwie rodzeństwo i kuzyni napędzali mu stracha opowieściami o tajemniczej pannie Carlisle, lecz on nie zamierzał wyśmiewać się z Heather ani niepotrzebnie jej martwić.

- Zgodnie z tym, co wiem o tej sprawie, to życzliwy duch. Nigdy nie oddała się z okolic Crofthaven.

- Dzięki, że nie traktujesz mnie jak wariatki - szepnęła Heather i oparła głowę na ramieniu Toby'ego.

Reszta drogi na lotnisko upłynęła spokojnie. Savannah swą cudowną zielenią i pięknymi pejzażami zachęcało do pozostania na tej ziemi. Kontrast pomiędzy bujną roślinnością a suszą panującą na Zachodzie był uderzający. Tu ziarno potrzebowało tylko łagodnego wiatru jako środka transportu i zaraz zapuszczało korzenie w żyznej glebie. Natomiast w Wyomingu farmerzy musieli harować, by wyrwać coś ziemi, raz smażące się w słońcu, raz zamarzającej w igraszkach żywiołów. Ludzie albo załamywali się i uciekali w bardziej przyjazne regiony Stanów, albo hartowali się jak stal. Ojciec Heather pogardzał tymi, którzy w znoju i trudzie zarabiali na życie. Mawiał, że farmerstwo w Wyomingu to zajęcie rodem z ortodoksyjnej obrzędowości.

Ciepłe ręce Toby'ego, ogrzewające jej dłonie, odsuwały w niepamięć budzącą dreszcze postać panny Carlisle. Przyjrzała się im. Ramiona Toby'ego, silne i delikatne, naznaczone pracą fizyczną, nie przypominały

rąk tych ranczerów dżentelmenów, których od biedy mógłby zaaprobować jej ojciec. James Burroughs zapewne wybaczyłby córce szorstkie dłonie jej szefa i niezależny światopogląd, skoro stało za nimi znane nazwisko Dan-forthów, ich pieniądze, wpływy i popularność.

Heather chciała kiedyś zostać mamą, ale teraz cieszyła się, że tak się nie stało. Josef na pewno zostawiłby ją samą z dzieckiem, tak jak Abraham Danforth zrobił to tej nieszczęsnej kobiecie tysiące kilometrów stąd. Heather nie miałyby wtedy wyboru, musiałyby zdać się na pomoc rodziców, by związać koniec z końcem. A taka zależność oznaczałaby dla niej kajdany.

Spojrzała w oczy tak błękitne jak niebo, które zaniesie ich do domu. Niewypowiedziana obietnica migotała w ich głębi. Czy to możliwe, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Josef czy jej ojciec?

- Powinniśmy porozmawiać - stwierdził Toby. Czyżby czytał w jej myślach? Jego głos brzmiał jak pieszczota. Niezwykła czułość w jego sposobie bycia okazała się dla niej zgubna. Nie spała w noc uroczystości, zastanawiając się, czy poprosi ją o rezygnację z pracy. Teraz, mając w pamięci, jak namiętnie odpowiedziała na jego awanse, rozmyślała, czy może zaproponuje jej bliższy związek, niemający nic wspólnego z pracą.

Heather upominała samą siebie, by postępować ostrożniej. Doświadczenie nauczyło ją, że godność osobista jest drogocenna i nie wolno jej beztrako trwonić. Konsekwencje bywają dużo bardziej niebezpieczne, niż można by przypuszczać.

Ciekawiło ją, jak wuj Toby'ego zamierza uporać się ze skandalem, którego jako jedna z niewielu była świadoma. A co do kierunku, w jakim zmierzają z Tobym, to czuła, że lada chwila dotrą do punktu zwrotnego.

- Porozmawiać? - spytała niby obojętnie. - O czym?
- O nas.

Choć Heather doceniała jego bezpośredniość, z wdzięcznością powitała widok lotniska. Co za niezwykły sposób na uleczenie jej z lęku przed lataniem.

- Może poczekamy z tym, aż wejdziemy na pokład i Dylan zaśnie?
- Słusznie - zgodził się niechętnie.

Nie wiedziała, że myślał o wszystkich tych rozmowach, które Sheila odkładała, zawsze obiecując, że wszystko będzie dobrze, zanim jeszcze

przebili się przez najtrudniejsze sprawy. Usłyszała tylko rezygnację w jego głosie i zrozumiała, że ta rozmowa nie będzie przyjemna. Cóż, jeśli tak będzie mu łatwiej, ona może zrezygnować.

Nawet jeśli oznaczałoby to zostawienie pracy i rodziny, którą zaczynała uwielbiać.

Pożegnania wśród bliskich Heather były krótkie i beznamiętne. Teraz, gdy czekali na pozwolenie wejścia na pokład, niezwykle kontrast pomiędzy tym, do czego nawykła, a zalanymi łzami krewnych Toby'ego, wprowił ją w przerażenie. Zawsze bardzo dbała, by nie mieszać się do prywatnego życia Toby'ego i Dylana, i teraz też szybko zmierzała do samolotu, chcąc uniknąć czułych scen.

- Dokąd się wybierasz? - zawołała za nią Miranda. Zaskoczona Heather dostrzegła, że sprawiła jej dużą przykrość.

- Pomyślałam, że najlepiej zrobię, zostawiając was samych - tłumaczyła.

- Myślałam, że to jasne. Uważamy cię za członka rodziny. - Miranda wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do gromadki żegnających się Danforthów.

Genie stwierdziła z charakterystycznym dla niej optymizmem:

- Mam nadzieję, że mój brat ma wystarczająco dużo rozumu i zanim przyjdziecie tu znowu, wszystko już będzie jasne.

Domyślając się, że „wszystko” oznaczało najbardziej nieprawdopodobny ślub, twarz Heather spowiła się wściekłą purpurą. Natomiast Toby posłał ukochanej siostrze mordercze spojrzenie. Wielce z siebie zadowolona Genie oczywiście je zignorowała i szepnęła ukochanemu bratu coś do ucha.

- Nie licz na to, siostrzyczko - odpowiedział jej cicho, acz dobitnie.

Uśmiech zniknął z twarzy Heather. Choć mogła tylko domyślać się, co mówili, zrozumiała, że była tematem niepochlebnej uwagi. Miranda poklepała ją po ramieniu.

- Nie zwracaj na nich uwagi, moje dziecko. Nieważne, ile razy matka mówiła im, jak niegrzecznie jest szeptać w towarzystwie innych, oni wciąż nie umieją się zachować. Teraz już wiesz, skąd tyle siwych włosów na mojej głowie.

Heather mogła co najwyżej wypatrzeć pojedyncze nitki. Miranda była



piękną kobietą, w środku i na zewnątrz.

- Wybacz mi. - Genie spojrzała przepraszająco, po czym wzięła głęboki oddech i w pośpiechu wypaliła: - Wiem, że jeszcze za wcześnie, by poganiać takiego uparciucha jak Toby i zachęcać go do kogoś tak słodkiego jak ty. Ale on chyba myśli, że masz za dobry gust, by związać się z kimś tak źle wychowanym jak on. A moja wyjątkowa pozycja kobiety, która ledwie co wyszła za mężczyznę uparcie okazującemu nienawiść do małżeństwa, upoważnia mnie do wytknięcia mojemu twarogłowemu bratu, że, pozwalając ci odejść, popełni największą pomyłkę w swoim życiu.

- Genie!

Wyglądało na to, że Harold Danforth jest jedyną osobą mającą jakiś wpływ na córkę. I to tylko dzięki surowemu spojrzeniu. Choć Genie natychmiast przestała się droczyć, wciąż miała w oczach psotne iskierki. Heather nie wiedziała, jak ma zareagować, by zyskać aprobatę Danforthów.

Znowu pomógł Harold.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni. - Patrzył prosto w oczy Heather. - To, co robisz dla Dylana i dla mojego syna, jest bezcenne. Na zawsze będziemy twoimi dłużnikami. Odwiedź nas znów. Jak najszybciej, zapraszamy.

Zaskoczona i wzruszona Heather nie mogła wydobyć słowa. Wtem dziecinny głosik powiedział cieniutko:

- Pa, pa.

- Co powiedziałeś? - spytał osłupiały Toby. Dylan zachichotał.

- Powiedział: pa, pa - powtórzył Peter, kręcąc głową niedowierzaniem. Czy wszyscy dorośli naraz pogłuchli?

Tylko on nie wyglądał na zaskoczonego. Heather przeszło podejrzenie, że może pod nieobecność dorosłych chłopcy ze sobą rozmawiali. Na osiągnięcie malca odpowiedzią był wybuch śmiechu i łez radości. Choć Toby powtarzał, że to zasługa Heather, ona była raczej przekonana, że to właściwa postawa ojca i bezwarunkowe wsparcie ze strony licznej rodziny były impulsem tego niespodziewanego przemówienia. Oraz zapewne chęć zakończenia czułych pożegnań.

- Powiedziałam ci, że zaczniesz mówić, kiedy będzie gotowy. I to bez

przekupywania go ciasteczkami - powiedziała Heather chwilę potem nadmiernie pewnym siebie głosem, kiedy gorączkowo zapięła klamrę pasa bezpieczeństwa.

Przygotowywała się do startu, patrząc wprost przed siebie i starając z całych sił nie oddychać za szybko, by nie spowodować zawrotów głowy. Dylan wciąż machał entuzjastycznie, wyglądając przez okno, podczas gdy samolot kołował po pasie.

- Daj mi rękę - zakomenderował Toby, odrywając palce Heather wczepione w poręcz fotela.

Jego dotyk uspokajał ją, a zarazem budził dziwną niepewność. Odkryła znienacka, że brakuje jej jego rodziny. To, że polubiła Danforthów, nie było niespodzianką. Byli tak czarujący, że można było tylko marzyć o ich towarzystwie. A oni też szczerze ją polubili, co przyjęła z zaskoczeniem. Heather była tak nieśmiała, że często brano ją za osobę zimną i wyniosłą.

Po zastanowieniu wzruszyła się tym, że właśnie Genie poruszyła temat małżeństwa swojego brata. Jednak biorąc pod uwagę багаż doświadczeń, jakie oboje wynieśli z poprzednich związków, szybkie podjęcie zobowiązań było mało prawdopodobne.

Ale trzymające ją, naznaczone odciskami dłonie działały kojąco podczas lotu. Natomiast jej ręce, odwykłe od podróżowania po czymś innym niż klawisze, musiałyby przyzwyczaić się do mydlin, pielenia skalnych ogródków i wyrabiania ciasta na domowy chleb. Tak spracowane dłonie na zakończenie dnia łakną czułego dotyku.

- Wszystko będzie dobrze.

Wiedziała, że Toby miała na myśli wiele rzeczy -problemy z mową Dylana, lot do Wyomingu i to, że łzawe rodzinne pożegnanie szczerze go poruszyło. Ostatni raz płakała podczas rozmowy ze swoimi rodzicami, ale były to wtedy gorące łzy gniewu i rozczarowania.

- *Jeśli wyrzekasz się swojej muzyki, możesz równie dobrze wyrzec się także swojego nazwiska, I nie oczekuj od nas żadnej pomocy finansowej!* - krzychał James Burroughs. - *Dla mnie równie dobrze możesz być martwa.*

Przywołując wspomnienie ojca, przepowiadającego, że marnotrawna córka kiedyś przyczołga się z powrotem i przyjmie jego warunki, albo

czeka ją życie ciskanego wiatrem śmiecia, żyjącego między szczurami z nędznej pensji kelnerki, Heather pożałowała, nie bacząc na logikę, że nie może zaadoptować rodziców Toby'ego...

- Dlaczego ktoś chciałby opuszczać taką rodzinę? - wymknęło się jej pytanie.

- Wcale ich nie opuściłem - zaprotestował Toby. - Ja tylko podążam za swoim marzeniem. Oni to szanują i dobrze mi życzą.

Jego słowa zabrzmiały tak bardzo obronnie, że Heather zastanawiała się, czy nie przygotował tej odpowiedzi na potrzeby najbliższych albo by przekonać samego siebie. Chciałaby uświadomić Toby'ego, jak wielkim jest szczęściarzem, mając tak wspierającą rodzinę.

- Cieszę się - odparła. - Nie wszyscy rodzice potrafią tak wspaniale rozumieć swoje dzieci. Pękłoby mi serce, gdybyście z Dylanem stracili kontakt z tak dobrymi ludźmi.

Toby przyjrzał się jej z namysłem. Zaczął coś mówić, ale zrezygnował. Zamiast tego zwrócił jej uwagę, że samolot osiągnął już właściwy pułap lotu i podsunął, że mogłaby się zdrzemnąć.

Heather nie wiedziała dlaczego, ale ta rozmowa zupełnie ją rozbiła. Cieszyła się, że kiedy jej lęk zelżał, Toby nie wypuścił jej ręki. Wyglądając przez okienko na chmury, rozmyślała o życiu na Południu. Wydawało się płynąć leniwiej niż to, do którego przywykła. Pogoda nie wymagała tam od ludzi, by przemieszczali się prędko z miejsca na miejsce, umykając przed nieprzyjaznymi żywiołami. Wybór Toby'ego wskazywał na cechujące też Heather zamiłowanie od podążania mało uczęszczanymi ścieżkami. Georgia była piękna, ale wolała surowy klimat Wyomingu. Ten klimat odpowiadał jej skłonnościom do bądź to skrajnie gorących, bądź to lodowatych uczuć. Czas pokaże, która ze skrajności

zwycięży.

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Z dala od uwodzicielskiego czaru Savannah i rodziny, która uporczywie intrygowała, jak by go ożenić, Toby Danforth był przekonany, że będzie zdolny oprzeć się urokowi Heather. W końcu tych kilka towarzyskich spotkań w ciągu roku, które czekają ich w Wyomingu, nie będzie wymagać tak zmysłowych kreacji, jak sukienka, którą włożyła na kwestę wuja Abe'a. A obraz Heather w błękitnej sukni zamieszkał w jego wyobraźni i dotąd nie mógł się go pozbyć.

Ani wspomnienia jej ust.

Toby Uczył na zmęczenie fizyczne i wyczerpującą rutynę pracy na ranczu. Miał nadzieję, że to go uspokoi, dzięki czemu będzie w stanie postępować w zgodzie z najlepiej pojętym interesem własnego syna. I jego pięknej niani. A dokładnie, że będzie, do diabła, zdolny zostawić ją w spokoju. Ostatnia rzecz, jakiej Heather potrzebuje, to on, gapiący się na nią z pożądaniem zza każdego rogu. A ostatnia rzecz, jakiej z kolei trzeba jemu, to jej paniczna ucieczka.

Postanowił, że najlepiej będzie, jeśli zapomni o namiętym pocałunku pod deszczem fajerwerków i nigdy nie powróci do rozmowy, którą zainicjował na lotnisku. To właściwy moment na odbudowanie właściwych relacji między nimi i odłożenie na bok wszelkich romantycznych porywów. Raz na zawsze.

Pomysł miał jedną słabą stronę. Otóż łatwiej byłoby zniszczyć twarze prezydentów wykute w skałach Mount Rushmore, niż zatrzeć wspomnienie o tamtym pocałunku. Był pewny, że pomimo najlepszych starań, nie da się powrócić do układu, jaki wcześniej panował między nimi.

Uspokojona, że Toby nie postanowił jej zwolnić, Heather postępowała zgodnie z jego planem. Gdy znaleźli się z powrotem w DD,

starala się unikać go tak starannie, jak to możliwe bez przekroczenia granicy dobrych manier. Rano przygotowywała śniadanie, on pochłaniał je żarłocznie i znikał z jej oczu aż do zachodu słońca, kiedy to pośpiesznie zjadał podgrzaną kolację. Ona i Dylan jedli o wcześniejszej porze. Chłopiec nie przemówił ani słowem od pożegnania na lotnisku, ale dawał poznać, co czuje. Rzucił smutne spojrzenia w kierunku ojca, kiedy spotykał go po jego powrocie z pracy. Toby zwykle wieczorem wyglądał tak, jakby na ogromnym ranczu pracował sam, bez niczyjej pomocy.

Heather w głębi ducha czuła się urażona tym, że Toby wolał pracować tak ciężko, żeby tylko jej nie oglądać, choć przecież zatrudniał odpowiedni personel. Ze zdwojoną energią zabrała się za Dylana. Chłopczyk, pomimo upartej niechęci do mówienia, był rozkoszny.

Jego zamiłowanie do muzyki było podobne do tego, co przed laty przeżywała małeńka Heather, i stanowiło wspaniałą podstawę do zawiązania prawdziwej przyjaźni. Choć ciągła nieobecność ojca zostawiała w życiu Dylana pustkę, której żadna niania nie zdołałaby wypełnić, Heather intensywnie wykorzystywała ten czas. Pracowała z chłopcem nad takim sposobem ekspresji, jaki był mu najbliższy - przez muzykę.

Przyglądanie się jego postępom było cudowną nagrodą. Heather miała naturę samotniczki. Z łatwością zagubiła się w szerokich przestrzeniach pięknego rancza DD i w lepiących się rączkach malca, który, jak się obawiała, zaczynał ją kochać jak matkę. Wiedziała, że wstępuje na równię pochyłą, ale nie miała pomysłu, jak z tego wybrnąć. Tak samo mogła powstrzymać swoje rosnące przywiązanie do dziecka, jak wyregulować gwałtownie skaczący w obecności Toby'ego puls. Wprawdzie nie mówili o swoich uczuciach, ale przez to wcale nie było im łatwiej sobie z nimi radzić.

Właściwie przyniosło to odwrotny efekt.

Determinacja Heather, by zapomnieć o swojej namiętności, stawała się z każdym dniem coraz silniejsza. Odwróciwszy się od swojej muzyki, nie mając koło siebie żadnych przyjaciół, nie wiedziała, jak sobie radzić z poplątanymi uczuciami. Radość, którą Dylan czerpał z melodii wygrywanych na syntezatorze, przeniosła ją do czasów, gdy wszystko

było prostsze, a ona również potrafiła wyrażać się poprzez muzykę. Nie mogąc dojść do ładu z emocjami, zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zachęcić Dylana do odnalezienia własnej drogi powrotu do mówienia.

Kiedy zdarzało jej się rozmawiać z Tobym, zazwyczaj spierali się o zaleconą przez surową logopedkę terapię, która miała zmienić zachowanie Dylana i w konsekwencji przywrócić mu mowę. Heather tylko raz spotkała tę kobietę, ale to wystarczyło, by zauważyć, że ta jej nie lubi. Sama pani Rillouso wolała posyłać w stronę Toby'ego maślane spojrzenia, niż zająć się pracą z Dylanem.

Heather szybko przekonała się, że terapeutka potrafiła z chłopca wydobyć co najwyżej kilka chrząknięć, i to tylko wtedy, jeśli skusiła go cukierkiem w nagrodę.

- Jeśli zdobędziesz przynajmniej dwadzieścia naklejek na karcie, którą zostawiam twojej opiekunce, następny raz przyniosę ci coś wyjątkowego - obiecała pani Rillouso.

Dylan nie mógł wyglądać na bardziej znudzonego tą propozycją. Heather nie poczuła się dotknięta tym, że została nazwana „opiekunką”, kimś jakby bez imienia i nazwiska, prawie anonimowym. Cóż, pani Rillouso koniecznie chciała pokazać, gdzie jest miejsce Heather.

Gdy już terapeutka odjechała, Heather wyrzuciła kartę. Kiedy Toby dowiedział się o jej nielojalności, ogarnęła go irytacja.

- Jeśli jesteś taki przekonany do jej idiotycznych pomysłów, to sam się tym zajmuj - rzuciła wyzywająco i podała mu naklejki do karty wyciągniętej z kosza przez Toby'ego. - Nie będę tracić czasu na przekupywanie Dylana. To wbrew wszystkiemu, w co wierzę, a co pozwala rozsądnie wychowywać zdrowe dziecko. Kiedy Toby grzecznie przypomniał, że płaci jej za wykonywanie jego poleceń dotyczących leczenia jego syna, Heather ostrzegła go:

- Jeśli nie będziesz ostrożny, z dobrego dziecka zrobisz nieznośnego bachora, którego nie obchodzi nic poza pieniędzmi, i który nie przyniesie dobrych stopni ze szkoły, chyba że mu za nie zapłacisz.

Toby cały się zjeżył. Za wiele widział dzieci uzależnionych od nagród, żeby zlekceważyć słowa Heather.

- Helen Rillouso polecono mi jako specjalistkę. Ma znakomite referencje. - Niesamowite kwoty, jakie jej płacił za cotygodniowe wizyty

na ranczu, musiały świadczyć o jej reputacji.

- Błagam cię, pozwól Dylanowi znaleźć własną drogę do mówienia - nalegała Heather.

Toby nie mógł zaprzeczyć, że jej delikatne podejście do chłopca przynosiło lepsze efekty niż cokolwiek innego. Dylan wyglądał na coraz szczęśliwszego z każdym dniem. Ale choć pod skrzydłami Heather robił duże postępy, Toby nie widział powodu, by przerywać program, który Helen Rillouso tak pieczołowicie opracowała.

- Proszę cię tylko, żebyś mnie wsparła - nalegał. - Jeśli nie chcesz z nim robić ćwiczeń z tego programu, to chociaż mi obiecaj, że nie będziesz celowo w nich przeszkadzać.

Heather długo myślała, zanim z trudem skinęła głową.

- Postaram się nie podważać twojego autorytetu. Jestem jednak przekonana, że przyspieszanie na siłę momentu, w którym Dylan zacznie mówić, jest równie niesłuszne, jak pośpiech w tworzeniu związku, zanim ktoś stanie się nań gotowy.

Toby spojrział na nią pytająco. Podejrzywał, że w subtelny sposób chciała mu dać do zrozumienia, żeby trzymał się od niej z daleka. Jakim sposobem mógłby jeszcze bardziej zwiększyć dystans między nimi, nie narażając swojego związku z synem? Czyżby Heather oczekiwała, że będzie spać na zewnątrz razem z niedźwiedziami grizzly? Przez cały czas swojego małżeństwa z Sheilą nie musiał z takim trudem kontrolować swoich myśli i pragnień.

Heather niewyraźnie zasugerowała, że jej zwykłą skłonność do zamykania się w sobie wzmocniły złe doświadczenia w poprzednim związku. Jeśli coś miało się zdarzyć między nimi, to on musi to zainicjować. Przywykł do tego, że kobiety kładły się u jego stóp. Heather stanowiła dla niego prawdziwe wyzwanie.

Był coraz to bardziej skłonny zrobić pierwszy ruch. I nie miało to nic wspólnego z wdzięcznością za jej pełną oddania pracę. Za to wiele z konstatacją, że - wbrew rozsądkowi - zakochał się w niej.

Heather musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć, jak ukradkiem Toby przypatruje się jej rozpalonym wzrokiem. Same te spojrzenia rozgrzewały jej krew i przyspieszały bicie serca. Kiedy tylko znalazła się z Tobym w jednym pomieszczeniu, zaczęła potykać się o własne nogi,

a jego doskonale dżentelmeńskie maniery i ciągła gotowość niesienia jej pomocy wcale nie ułatwiały sprawy. Heather nigdy nie dotąd pracowała tak ciężko. Wszystko po to, by nie myśleć o nim w dzień i w nocy.

Kiedy wieczorem kładła się do łóżka, była wyczerpana całodziennym budowaniem kruchej konstrukcji oddzielającej podwładną od szefa. Nieważne, jak solidny i wysoki mur wzniosła przez cały dzień, bo i tak wraz nastaniem nocy rozsypywał się w pył.

Nie była święta. Po katastrofalnym rozstaniu z Josefem przestała myśleć o sobie jako o dobrej dziewczynce. Przed ulegnięciem potędze wzajemnego przyciągania i rzuceniu się w ramiona Toby'ego powstrzymywała ją nie awersja do seksu, ale najzwyczajniejszy strach.

Obawiała się, że pójście do łóżka z Tobym całkowicie popsuje ich stosunki. Przemawiało za tym doświadczenie z Josefem. Nie chciała jeszcze raz dać się wykorzystać, a potem zostać odrzuconą, zwłaszcza że tak rozpaczliwie potrzebowała tej pracy. I to nie tylko po to, by zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa, ale przede wszystkim dla podniesienia własnej wartości.

Było jeszcze coś. Bardzo ceniła sobie przyjaźń z człowiekiem, który zatrudnił ją, by troszczyła się o jego syna. Każdego dnia udowadniał, że jest dobrym i przenikliwym przyjacielem, obdarzonym do tego poczuciem humoru. Kiedy się wycofywała, nie naciskał na nią, jak czynił to Josef. Zamiast tego Toby odstępował o krok i czekał, aż sama z sobą dojdzie do ładu. Chciał, by samodzielnie podjęła decyzję o zbliżeniu się do niego.

Pomimo ogromnego zmęczenia, Heather miała kłopoty z zasypianiem, jakby sen jej unikał. Kiedy w końcu jednak nadchodził, śniła o pannie Carlisle w czarnej sukni z alpaki. Zjawa pokazywała złoty medalion ze zdjęciem nieznanego. Heather domyślała się, że był to ktoś, kto zajmował szczególne miejsce w sercu guwernantki. A serce nakazywało jej ujawnić tę tajemnicę potomkom mężczyzny.

Tej nocy sen był inny. Była ciemno. Końskie podkowy wybijały przerażający rytm. Panna Carlisle stuknęła rozpaczliwie w drzwiczki powozu i błagała woźnicę, żeby zwolnił. Wiedziała, że zbliżają się do niebezpiecznego zakrętu. Zakrętu napiętnowanego przeznaczeniem śmierci nieszczęsnej guwernantki, która tę tragiczną scenę powtarzać



będzie bez końca przez całą wieczność, chyba że przeszłość zostanie naprawiona przez teraźniejszość.

Przez niczego niepodejrzewającą ofiarę.

Obudził ją własny krzyk. Usiadła na łóżku zлана potem.

Zdezorientowana, rozglądała się wokół, odkrywając, że jest cała i bezpieczna, w swoim łóżku, z dala od zagrożenia. Niecichące w jej uszach wołanie napełniło ją lękiem o własne zmysły. Minęła chwila, zanim zorientowała się, że głos nie płynie z głębi jej lęków i snów, lecz dobiega z pokoju Dylana. Lodowaty strach ścisnął jej serce.

Heather wyskoczyła z łóżka i biegiem ruszyła do sypialni chłopca. Nieszczęsny malec walczył z własnymi koszmarami. Obudził się i dostrzegł jej sylwetkę na tle drzwi.

- Mamusiu! - wykrzyknął w przerażeniu. Heather była przy nim w jednej chwili. Przytuliła go mocno i przemawiała uspokajającymi słowami.

- Już dobrze, Dylan. Jestem tu, jestem przy tobie. Przerywany łkaniem, niepewny, bo rzadko używany głos zabrzmiał z naleganiem:

- Nie zostawiaj mnie.

Te słowa ugodziły Heather prosto w serce. Dylan objął ją za szyję, lgnąc do niej z bezdenną rozpaczą.

- Nie zrobię tego, słonko. Obiecuję, że nigdy stąd nie wyjadę.

- Nie obiecuj pochopnie - ostrzegł ją głos dobiegający zza jej pleców.

Odwróciła głowę i w drzwiach zobaczyła Toby'ego. Nie miał na sobie nic oprócz prostych białych slipów. Co za rzeźba mięśni! Wcielony ideał. Heather spędziła długie godziny, wyobrażając sobie, jak jest zbudowany, ale rzeczywistość prześcignęła wyobraźnię. To ciało zasługiwało na unieśmiertelnienie w marmurze.

Zmartwiony głos Toby'ego był dla jej uszu pieśczęcią. I zgubą.

Natomiast jej głos zabrzmiał niespodziewanie pewnie:

- Mówię, co myślę.

---

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Heather wyglądała przy łóżku jego syna jak anioł. Światło księżyca, wlewające się do pokoju przez okno, podkreślało krągłości jej ciała. Pragnął jej tak mocno. Nigdy dotąd nie widział równie seksownego stroju jak jej skromna biała koszula nocna. Ani bardziej seksownej kobiety niż ta, której źrenice rozszerzały się, ilekroć poczuła na sobie jego wzrok. Czarodziejska melodia, którą cicho nuciła, by pomóc Dylanowi spokojnie zasnąć, zamarła na jej ustach.

- Cicho, cicho - uspokajał, podchodząc do łóżka. - Już dobrze, tatuś jest przy tobie. To był tylko zły sen. - Toby liczył, że jego obecność ukois strach dziecka.

To pierwszy zły sen, jaki niepokoił Dylana od czasu przybycia Heather. Martwiło to Toby'ego, bo mimo jego wysiłków Dylan najwyraźniej wciąż tęsknił za matką.

Mały otworzył oczy. Niechętnie wysunął się z objęć Heather i pozwolił zamknąć w silnych ramionach ojca. Toby wyglądał kosmyki przyklejone do spoconego czółka.

Razem uspokoiili go łagodnymi słowami i głaskaniem. Kołysanka, którą Heather nuciła, ukoila dziecko. Nerwy Toby'ego były napięte jak postronki. Martwił się o Dylana. Coraz bardziej zdawał też sobie sprawę, jak bardzo Heather jest ważna dla jego syna.

Chłopiec z łatwością zapadł w sen. Heather okryła go po szyję. Toby na palcach ruszył do drzwi. Przytrzymał je, czekając na Heather, a kiedy wyszła, zamknął je za nią cicho. I natychmiast chwycił ją w ramiona i uniósł.

Nie zaprotestowała, kiedy Toby skierował się do swojej sypialni. Czowała, że była to najlepsza rzecz, jaka mogła ją spotkać.

Objęła go za szyję. Czowała ciepło jego ciała. Oparła głowę na jego

ramieniu. Woń jego żelu do kąpieli zmieszała się z zapachem pościeli, którą przed chwilą opuścił i słabym, lecz zauważalnym zapachem jego skóry. Zafascynowana, pocałowała jego silny kark i zlizwała z warg słonawy smak. Położył ją drżącą na swoim łóżku. Było wciąż ciepłe.

Włosy Heather rozsypały się na tej samej poduszce, którą co dzień przyciskała do serca.

Toby włączył lampkę dającą miękkie światło i stanął w nogach łóżka, patrząc na Heather z nieukrywanym pożądaniem. Modliła się, by jego oceniające spojrzenie było dla niej łaskawe.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak niewiarygodnie jesteś piękna?

Zaskoczona, otworzyła półprzymknięte w zawstydzeniu oczy. Nauczona wcześniej, że jej najmocniejszą stroną jest talent, Heather rzadko przykładała wagę do wyglądu ponad to, co było konieczne, by dobrze się prezentować na scenie. Głos Toby'ego był tak zmieniony od powstrzymywanych emocji, że zaświadczał o najwyższej szczerości.

Odwrócił się i z szuflady w komódce wyjął małą srebrną kopertę. Heather była wdzięczna, że pamiętał o zabezpieczeniu, podczas gdy ona zupełnie straciła głowę. Zagryzła wargi. Miała nadzieję, że jej niewielkie doświadczenie nie rozczaruje go.

Delikatność Toby'ego doprowadziła ją do łez.

- Dlaczego płaczesz?

Bo nie wiem, czy jestem na to gotowa, załkała w duchu. Bo boję się, że nie będzie ci ze mną dobrze. I że przestaniesz o mnie myśleć, kiedy już zdobędziesz moje ciało. I że porzucisz mnie, jak tylko dostaniesz to, czego chcesz.

- Nie płaczę - skłamała i szybko otarła załzawione oczy rękawem.

- Kobiet płaczących w moim łóżku nie zmuszam do niczego. Bez względu na to, czy są ubrane.

Jak udało mu się z humorem wyrazić troskę, nie miała pojęcia. Uśmiechnęła się i zapominając o smutku, pocałowała go gorąco. Słodycz i pasja tego pocałunku usunęły bez śladu wszelkie czające się lęki, także ten, że niechybnie nadejdzie koniec świata.

Heather okazała się nieposkromioną kochanką. Toby gładził jej włosy rozsypane na poduszce złotym wachlarzem, sprawdzając, czy nie śni. Oparty na łokciach, wpatrywał się w jej anielską twarz niezdolną do

ukrycia jakichkolwiek uczuć Nie musiała mu nic mówić o miłości. Czytał to w jej twarzy.

Był najzupełniej świadomy, że Heather należała do tego rodzaju kobiet, które idą do łóżka z mężczyzną tylko z miłości. Nie chciał jej złamać serca. Rozumiał różnicę między pragnieniem a miłością. Wiedział, że Heather zasługiwała na kogoś, kto oddałby jej się bez reszty. Uważał, że nie jest emocjonalnie przygotowany do składania obietnic.

Jednak już nie mógł się odwrócić od tego, co ofiarowała tak szczerze. Nigdy dotąd nie pragnął kobiety z taką siłą. Bez względu na to, jak bardzo się zmęczył pracą, i tak każdą myślą wracał do niej. Sen nie przynosił ukojenia. A kiedy budził się, odczuwał żal na widok pustki w swoim łóżku, tak innej od wizji, które wypełniały jego sny.

Oddając mu się, Heather ofiarowała Toby'emu nie tylko gorące, spragnione ciało, ale także uczucia tak prawdziwe i trwałe jak srebrzyste szczyty górskie, rzucające cienie przez uchylone okiennice. Olśniło ją to odkrycie. Nie mogła nic na to poradzić. Zaciśnęła powieki i marzyła, że i on któregoś dnia ją pokocha. Heather podejrzewała, że Toby może mieć trudność w składaniu deklaracji miłosnych, nawet zrodzonych w głębi serca. Wolała taką nieporadność od słodkich słówek wypowiedzianych w łóżku tylko po to, by stworzyć miły nastrój. Objęła jego silne ramiona, ukształtowane przez ciężką fizyczną pracę. I tak trwali, aż słońce ozłociło wierzchołki pobliskich gór, przynosząc nowy dzień i szansę odmiany losu.

---

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

Świt oświetlił wzburzone prześcieradła na łóżku. Toby powoli otworzył oczy. Jak każdego ranka dziękował za wszystkie dobre rzeczy, które go spotykają. Kobieta po kocieku zwinięta obok w kłębuszek była jedną z nich. Przyglądał się śpiącej piękności i zastanawiał, czy to, co się stało, to naprawdę jawa. Odkrycie, że Heather pragnie go równie mocno jak on jej, było cudowne. To, że najwyraźniej nie oczekiwała od niego niczego, czego nie byłby w stanie jej dać, wraz z faktem, że była czymś więcej niż matką dla jego syna, tworzył idealne połączenie, o jakim nawet nie ośmieliliby się marzyć. Obudził ją czułym pocałunkiem.

- Przepraszam, że byłem w nocy taki gwałtowny. Heather przeciągnęła się i uśmiechnęła w sposób, który sprawił, że jego serce podskoczyło z radości.

- Niczego mi nie brakowało, kowboju.

Jej głos brzmiał słodko i melodyjnie, choć zagłuszały go przebudzone drozdy kłócące się za oknami. Nigdy jeszcze dzień nie był tak pełen obietnic. Toby miał ochotę zostać z nią w łóżku, jednak wszystko musiało poczekać do zachodu słońca.

- Lepiej wstańmy i ubierzmy się, zanim Dylan się obudzi i zastanie nas tu razem - poradziła Heather.

- Mogłoby to być dla niego traumatyczne przeżycie - zamruczał, opierając się chęci sprowokowania losu. - Za nic nie chcę zaprzepaścić tego, co już osiągnął.

Choć Heather przytaknęła ze zrozumieniem, jej serce, które jeszcze przed chwilą było radosne jak skowronek, zaciążyło jak kamień. Znów stała się dawną sobą, niewierzącą w siebie i nieśmiałą. W mgnieniu oka wyskoczyła z łóżka. Podniosła koszulę z podłogi i owinęła się nią. Tak, zaczęła ten temat, ale raniła ją myśl, że jej miłość może być odbierana

jako kłopot.

Czy seks zawsze musi być dla mężczyzny wstępem do pozbycia się kobiety? Nawiedziło ją wspomnienie Josefa, który porzucił ją dla młodszej, lepszej i potencjalnie bardziej złotodajnej pianistki. Zdecydowana dać ujście łzom dopiero w samotności swojego pokoju, podniosła brodę i ruszyła do drzwi.

Toby objął ją jednak!

- Nie tak szybko - zawołał cicho, głaszcząc ją po karku. - Możesz mnie chyba jeszcze raz pocałować?

Trzymał ją potem jeszcze długo w ramionach i wpatrywał się w jej czułe oczy. A pulsująca w nim krew przypominała mu o tym, że ma ciało i nie może lekceważyć jego potrzeb. To samotne życie w poświęceniu dla syna było pomyłką. Każdy człowiek ma prawo szukać szczęścia. On też zasługuje na szczęście, na miłość i na to, żeby ktoś pokochał go takim, jakim jest.

Miłość?

Słowo to wyskoczyło z nienacka, niczym diabełek z pudełka, wprawiając go w przerażenie. A jeśli Heather oczekiwała czegoś więcej niż tylko fizycznego związku? Czy to możliwe, że chciała być z nim bez względu na to, że ściągnie na siebie uwagę plotkarskich mediów? Że mogłaby pokochać jego marzenia i podążać za nimi? Objął ją ciasno. Wiedział już, że jeśli pozwoli jej odejść, to okaże się przerażającym głupcem.

Nastąpiły najszcześniejsze chwile w życiu Heather. Zaczynała i kończyła dzień w ramionach ukochanego mężczyzny. Nuciała, pracując, a niezwykłą przyjemność sprawiały jej bukiety z dzikich kwiatów, które co dnia przynosił jej Toby. Dylan zaraził się ich nastrojem i choć nadal nie mówił, uśmiechał się częściej, a proste melodie, które układał, odzwierciedlały radość przepelniającą dom, który ledwie miesiąc temu tonął w smutnych echach przeszłości.

Pomoc Dylanowi w wyrażaniu siebie poprzez muzykę zbliżyła Heather do fortepianu w sposób, który przypominał jej dzieciństwo. Nie patrzyła już na instrument jak na coś, przez co straciła wolność. Dzięki wrażliwemu dziecku zaczynała zauważać swoją dawną miłość do muzyki. Obserwując małe paluszki przebiegające klawisze, Heather

zrozumiała, że wspólny im talent jest naprawdę wspaniałym darem. Dylan posłał jej uśmiech. Grał, usadowiony tuż obok niej na kozetce, a słodka melodia zmywała z Heather i chłopca wszystkie zmartwienia i zabierała je daleko stąd.

Toby stał w drzwiach domu i wycierał brudne dłonie w znoszone dzinsy. W skupieniu podziwiał widok. Miękkie światło popołudnia wsączało się do pokoju, tworząc aureolę wokół jasnych włosów Heather. Widok syna wtulonego w zachwycającą nianię wołał o utrwalenie na płótnie. Jakże żałował, że nie ma talentu.

Niestety, Toby nie był artystą. Nie był też uzdolniony muzycznie. Urodził się za to z prawdziwym talentem do osvajania koni. Miał szczęście, że jego rodzice rozwijali w nim to, co inni z pewnością zlekceważyliby jako nic niewarte szczenięce hobby. To, że mógł ułożyć sobie życie zgodnie z tym zamiłowaniem, było dla niego źródłem niekończącej się satysfakcji. I rosnącego szacunku sąsiadów. Toby wyrobił sobie już pewną sławę pomiędzy sceptycznymi tubylcami i dobrymi w swym fachu pasterzami jako ktoś, kto łagodnie, bez użycia siły, potrafi obłaskawić konia. Nie uważał się za zaklinacza koni, ale każdy, kto oglądał go przy pracy, musiał być pod wrażeniem sposobu, w jaki dogaduje się z najbardziej narowistymi zwierzętami, delikatnie je dotykając i miękko mruczając do trójkątnych uszu.

Nigdy jeszcze nie spotkał bardziej nieufnej istoty niż ta, dzięki której pulchne paluszki jego synka tworzyły muzykę. Piosenka się skończyła, a metronom na gzymsie kominka dalej odmierzał rytm. Czy to możliwe, że nie będzie musiał reszty życia spędzić samotnie? Czy możliwe, że uwierzy jeszcze w słowa „kocham cię”?

Słowa okazały się za trudne dla jego syna i dla niego, a muzyka działała uzdrawiająco. Czytał, że niekiedy sparaliżowani, niezdolni mówić, śpiewają ulubione piosenki. Stojąc tu cicho i przyglądając się, zalany uczuciem niewypowiedzianego, nieznanego mu dotąd zadowolenia, pragnął poprosić Heather, by za niego wyszła.

Zastanawiał się, czy uzna, że małżeństwo będzie równoznaczne z porzuceniem jej własnych marzeń. Heather niewiele mu powiedziała o swojej przeszłości, a on nie chciał wypytywać. Ale nie trzeba było specjalisty, by dostrzec, że spotkał ją straszny zawód, więc stała się

nieufna wobec jakichkolwiek związków. Miał wrażenie, że weszła do tego domu tylko jedną nogą, a drugą wciąż stoi na zewnątrz, gotowa do ucieczki. Ostatnie, czego chciał, to ją wystraszyć.

Dylan, już unieszczęśliwiony przez odejście matki, mógłby rozchorować się, gdyby stracił jedyną kobietę, której ufał i którą pokochał. A i sam Toby nie sądził, by był w stanie znieść utratę kobiety, której potrzebował jak powietrza. Nie wiedział, kiedy się w niej zakochał. Wiedział tylko, że zakochał się potężnie.

Nie wiedział też, co Heather myśli o podjęciu matczynej odpowiedzialności za Dylana. Albo o porzucaniu własnych marzeń. Za każdym razem, kiedy już myślał o poproszeniu jej o rękę, w uszach rozlegał się szyderczy głos Sheili.

*- Jaka zdrowa na umyśle kobieta chciałaby zmarnować swoje życie i przepaść w takiej przeklętej dziurze z tak bardzo głupim mężczyzną, który nie umie wykorzystać swojego nazwiska i ustawić się wygodnie w życiu?*

Bez wątpienia małżeństwo zostawiło w Tobym niesmak. Spodziewał się, że to tylko kwestia czasu, zanim Heather zmęczy się izolacją. Uważał, że daleko lepiej będzie wypróbować związek bez ceremonialnych więzów, niż ryzykować totalną klęskę i drapieżny atak prawników specjalizujących się w rozwodach.

Tak więc to poczucie winy, lęk przed utratą ulotnego szczęścia ścierały się w nich obojgu dzień za dniem. Nocą rozpaczliwie szukali bliskości i bezpiecznej przystani w swoich ramionach. Kiedy nadchodził ranek, dyplomatycznie zapewniali się, że nie chcą niczego ponad to, co stało się w nocy.

W skrytości ducha jednak oboje pragnęli czegoś znacznie więcej.

- Czy mogłabyś zabrać Dylana do miasta na zastrzyk witamin? - pewnego ranka spytał Toby po śniadaniu. - Zrobiłbym to sam, ale właśnie dostałem wiadomość, że przyjazd Sun Duncera się opóźni. Muszę zostać i uporać się z papierkową robotą. Chcę być gotowy, kiedy go przywiozą.

Sun Dancer był championem, za którego Toby dał dużo pieniędzy, licząc na uszlachetnienie swojego stada. Heather domyślała się, że tak naprawdę chce zostać sam. Bez względu na jej miejsce w sercu



Toby'ego, wiedziała, że jego pierwszą miłością na zawsze pozostaną konie.

- Nie odmówię ogierowi przyjemności powitania nowego ogiera w stadzie - spuentowała. - Poza tym to miła odmiana wyjechać z rancza na cały dzień.

Pamiętając o niechęci Sheili do życia w DD, Toby drgnął jak ugodzony.

- Gdyby nie to, z chęcią bym wam towarzyszył. Heather nie usłyszała troski w jego głosie. Była szczęśliwa, że może zrobić coś dla niego i tyle. Skąd mogła wiedzieć, że każda wzmianka o opuszczeniu rancza i radość z chwilowej odmiany wywoływała zimny dreszcz u jej ukochanego?

Toby sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik banknotów. Odłożył kilka setek i popchnął do Heather po stole razem z kartą kredytową.

- Kup sobie coś, kiedy będziesz w mieście. Jakies ładne ubranie albo biżuterię. I nie zapomnijcie zatrzymać się na lody. Dylan nienawidzi zastrzyków, a to niezły sposób, żeby go pocieszyć.

- Niczego nie potrzebuję. Zresztą i tak nie ma gdzie tu zrobić zakupów - zaoponowała Heather.

Oczy Toby'ego zwęziły się, kiedy powtórzył, co Sheila mawiała o miasteczku:

- Tylko jeden tani sklep i kilka barów.

Heather zaśmiała się. Zakupy nigdy nie były jej ulubioną rozrywką.

- Dobrze, że mamy kanał z zakupami w telewizji - zażartowała.

Godzinę później wspinała się do terenowego samochodu Toby'ego. Dylana zapięła w dzieciennym foteliku obok siebie. Toby objął ją w pasie i podsadził bez wysiłku. Nie mogła się powstrzymać, by nie pogłaskać jego stalowych ramion.

- Dobrze ci w kowbojskim kapeluszu. - Poczochnęła wicherem na jego karku.

Bawiło ją, że uważał swoje włosy za zbyt długie, jeśli dotykały kołnierzyka. Ale nie narzekała, bo uwielbiała całować jego kark. Toby w odpowiedzi nałożył kapelusz na jej głowę.

- Tobie też - wymruczał. I zniżywszy głos, dodał: - Ale lepiej wyglądasz bez niczego.

Pocałowali się. W tle rozciągały się monumentalne góry roziskrzone wzbierającym upałem, a wszystkie lęki o przyszłość umknęły jak pustynny miraż. Heather tak przyzwyczaiła się do wąsów Toby'ego, że w ogóle już jej nie łaskotały. Uwielbiała ciepło jego ust i za nic nie wyrzekłaby się tego doznania. Jej cały świat opierał się na tym silnym, przystojnym mężczyźnie. Przywarła do niego, jakby bojąc się, że jeśli go puści, spadnie w pustkę kosmosu.

Za ich plecami nadjeżdżający pojazd wzniecił chmurę pyłu, zwiastując przybycie Sun Dancera. Oczy Toby'ego zaświeciły. Heather westchnęła, spojrzała na zegarek i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

- Nic na to nie poradzę, że czuję się mała w tym monstrualnym pojeździe - przyznała. - Powinnam zabierać drabinę, wtedy mogłabym z niego także wysiąść.

- Sportowy samochódzik byłby tu na nic. - Uśmiechając się przepraszająco, zajrzał przez otwarte okno, by zapamiętać niebiański zapach jej perfum. - Ale jeśli chcesz, w jednej chwili kupię ci taki.

Heather zaśmiała się i pocałowała go. Zerknęła na Dylana przypiętego do fotelika. Ani trochę nie wyglądał na zranionego ich wzajemną sympatią. Uśmiechał się szeroko i wyciągał ręce, także domagając się przytulenia przez ojca. Heather odwróciła się od wzbudzającej smutne uczucia sceny. Niebezpiecznie było poczuć się częścią tej rodziny.

Kilka minut później, podskakując na wybojach, Heather przypomniała sobie propozycję Toby'ego, by kupiła sobie nowe ubrania. Maże w ten sposób chciał powiedzieć, że jest już zmęczony oglądaniem jej w tych samych kilku bluzkach i dzinsach stanowiących większość jej garderoby. Czowała, że daleko odbiega od światowego wyglądu jego byłej żony, której zdjęcie nadal zdobiło fortepian. Miała tylko nadzieję, że jej strój nie wprawiał Toby'ego w zakłopotanie.

Ani tym bardziej ich związek.

Samo miasto nie sprawiało, że Heather czuła się mała. Dylan trzymał się dzielnie, więc wizyta u doktora przebiegła szybko. Ponieważ obiecała odważnemu malcowi nagrodę, chwilę później zaparkowali na zakurzo- nym parkingu przy Whistle Stop Cafe. Powiedziała Dylanowi, że zamówi mu wszystko, na co tylko będzie miał ochotę.

Właściciel kawiarenki chwalił się bezpłatnymi dolewkami kawy i

najlepszym plackiem w całym hrabstwie. Każdego dnia przychodzili tu miejscowi, by posłuchać plotek i ponarzekać na ceny rogacizny. Teraz, W południe, było tu kilkunastu takich właśnie gości.

Wszyscy siedzieli przy kontuarze, a Heather miała dziwne wrażenie, że każdy z obecnych przygląda się jej. Uznawszy to za objaw paranoi, zamówiła kawę i podwójny deser lodowy z czekoladowym ciastkiem dla Dylana. Kelnerka zapewniła ją, że malec nie dałby rady nawet połowie porcji. Kobieta, której imię „Nancy” ogłaszała światu plakietka umieszczona na biuście, była grubokościstą blondynką o miłych rysach i uczesaniu popularnym w ubiegłej dekadzie.

- To ta? - spytał jeden z klientów siedzących na obrotowym stołku przy barze, kiedy Nancy w drodze do lodówki dolewała mu kawy.

Pomimo kłębu liści tytoniu wypychających policzek mężczyzny, mówił bardzo wyraźnie i na tyle głośno, by Heather to usłyszała.

- Ciii - uciszyła go kelnerka.

Dyskretnie zamknęła gazetę rozłożoną na kontuarze i powróciła do nakładania góry lodów waniliowych na czekoladowe ciasteczko rozmiarów półmiska, oblała to kajmakiem i hojnie dodała bitej śmietany z puszki, ozdabiając tę kaloryczną bombę wisienką koktajlową.

Chwilę potem postawiła słodką mieszankę przed Dylanem, który spojrział na kulinarne cudo z prawdziwym zachwytem.

- Wciąż nie mówi, co? - Nancy z troską zmarszczyła czoło.

Heather zostawiła Dylanowi wystarczająco dużo czasu, żeby odpowiedział, jeśli tylko miałby ochotę, a potem stwierdziła za niego:

- Niestety nie.

Domyślała się, że kelnerka musi znać Dylana z poprzednich wizyt Toby'ego. Miło z jej strony, że spytała. Kilka kęsów ciastka czekoladowego zaspokoilo ochotę Heather na coś słodkiego. Odłożyła łyżeczkę i przyjrzała się stojakowi na gazety, mając nadzieję znaleźć jakieś zajęcie, bo nie zanosilo się, by Dylan szybko zjadł swój deser. Jeden z magazynów zwrócił jej uwagę. I sądząc po pustych półkach wokół niego, nie tylko jej uwagę.

„Zdjęcia rodu Danforthów z 4 lipca! Tylko u nas!” -krzyczały tytuły.

Heather chwyciła jedyny pozostały egzemplarz i otworzyła, nie usiłując nawet udawać nonszalancji. Podczas gdy reportaż na pierwszej

stronie mówił o politycznych aspiracjach Abrahama Danfortha, interesujące zdjęcia zaświadczały o zepsuciu jednej z pierwszych rodzin Ameryki. Na fotografii znacznych rozmiarów Heather tonęła w ramionach Toby'ego. Najwyraźniej mylił się, sądząc, że zniszczył jedyne klisze. Drugi, bardziej pomysłowy reporter sfotografował ich z innego miejsca. Dwie i pół godziny niewygody na gałęzi pobliskiego drzewa zapewniły mu premię. I obrzydzenie Heather.

Podpisy pod zdjęciami z podnieceniem sugerowały, że Toby zatrudnił nianię dla swojego „zaburzonego emocjonalnie” Syna ze względu na jej atrybuty predestynujące ją bardziej do pracy w sypialni niż w pokoju dziecinnym. Zaczerwieniła się. Gdy rozejrzała się wokół, stwierdziła, że wszyscy klienci zniechęca zaczęli wpatrywać się w swoje talerze.

Chciałaby nie przejmować się tym, co o niej myślano, lecz nie potrafiła. Łatwo było ją zranić. Zalała ją fala mdłości. Chwyciła się krawędzi stołu, by ukryć drżenie dłoni. Miała wrażenie, że wszyscy dookoła śmieją się i wytykają ją palcami. Na przemian robiło jej się zimno i gorąco.

Kiedy poniżył ją Josef, uciekła od muzyki, by szukać dla siebie nowej drogi. Takiej, którą mogła ruszyć z radością i wiarą, że w końcu zacznie kształtować własne życie. Niestety nie miała pomysłu, jak uciec od plotek rozsiewanych w popularnej w całym kraju gazecie, ani tym bardziej od złej reputacji. Jej rodzice, już i tak zawiedzeni nią, teraz z pewnością w ogóle nie będą chcieli jej znać.

A co z Dylanem? Heather wiedziała, jak okrutne bywają dzieci. Łatwo też się domyślić, jak zareaguje Shieila na tę obrzydliwą publikację. A jeśli użyje jej jako amunicji w sądzie, by uzyskać opiekę nad synem?

W głębi serca Heather wiedziała, że zakochanie się w Tobym było niesamowitą i cudowną pomyłką. Po prostu nie liczyła, że ta pomyłka zostanie wyśledzona i wzięta pod lupę przez prasę.

Dylan odsunął swoją miskę i wytarł wierzchem dłoni czekoladowe okruchy z podbródka, dając w ten sposób znak, że jest gotowy do wyjścia.

Heather przełknęła,- zanim spytała go:

- Masz już dosyć?

Kiwnął głową. Łzy w jej oczach zwielokrotniały jego obraz.

- Ja też - odpowiedziała.

Zapłacała bez słowa, udając, że nie słyszy zgryźliwego mężczyzny przy barze:

- Pomyśl, mogłaby troszkę porozgrzewać moje łóżko, co? Niezłaniana, co nie, Charlie?

- No, ja bym tam dał jej zbadać moje migdałki! - zarechotał jego kumpel.

Te słowa powracały echem w jej głowie, kiedy wyszła z klimatyzowanej kawiarni w jasne światło dnia. Najgorszą rzeczą, jaka wynikała z jej miłości do To-by'ego, to utrata kokonu, którym odgradzała się od nieżyczliwego świata. Przez to Heather stała się wrażliwsza i bardziej podatna na ból. Szczyty uniesień, na jakie docierała wraz z Tobym, zapierały jej dech w piersiach, ale głębiny, w jakie spadała, wysysały z niej życie. W obu wypadkach cierpiała.

Po raz pierwszy była wdzięczna za milczenie Dylana. Przynajmniej nie musiała się martwić, że wspomni ojcu o strumieniach łez, jakie wylewała w drodze powrotnej.

- Składam wypowiedzenie Za dwa tygodnie odchodzę.

Słowa Heather odbiły się głucho od ścian i ogłupiły Toby'ego. Dylan drzemał i w całym domu było tak cicho, że każdy dźwięk rozbrzmiewał głośniejsze. Zabytkowy zegar z kukułką poinformował, że jest już trzecia. Toby poczuł, jak świat usunął mu się spod nóg.

Zachodził w głowę, co takiego wydarzyło się od ich rozstania tego ranka, że powiedziała coś takiego. Miliony myśli przebiegały przez jego głowę, przedstawiając rozmaite domysły, czym mógł ją urazić.

- Może miasteczko wydało ci się prowincjonalne. - Chwycił się tego tropu jednej z wymówek Sheili, tłumaczącej swoje odejście.

- Skąd, raczej dość światowe - odpowiedziała Heather, ściskając w rękach gazetę.

Toby przeleciał wzrokiem artykuł, zanim rzucił magazyn w kąt z niesmakiem.

- A więc o to chodzi? Heather, nie mogę uwierzyć, że przejmujesz się tym śmieciem.

- Może nie dorastałam w takich warunkach jak ty.

I może bardziej się troszczyć, jak to może wpłynąć na ciebie i Dylana. I na mnie.

- A może po prostu szukasz pretekstu, żeby stąd uciec.

Gdy Heather zadrżała, zrozumiał, że ją zranił. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po twarzy. Wzięła głęboki oddech i na sekundę oparła policzek na jego dłoni.

Otarł łzę spływającą po jej policzku.

- Czego się obawiasz, kochanie?

- Że przyniosę ci wstyd - wyznała. - Że dla moich samolubnych pragnień zaprzepaszczę postępy Dylana.

Toby zaśmiał się krótko i gniewnie.

- Nigdy nie przyniesiesz mi wstydu. A zanim Dylan będzie mógł to przeczytać, mam nadzieję, że wyrobi sobie dystans do takich głupot. Mnie one nie obchodzą.

Heather odepchnęła jego rękę i z trudem przełknęła ślinę.

- Możesz sobie z tego żartować, ale prawda jest taka, że już niedługo Dylan będzie na tyle duży, żeby zapytać, co nas łączy. A nasz... związek jest z założenia neutralny, bo żadne z nas nie chce podejmować innych zobowiązań niż czysto fizyczne. Nie widzę siebie jako twojej stałej kochanki i nie chcę grać miłością, by zmusić cię do małżeństwa. - Przytrzymała dłoń Toby'ego, by jej nie przerywał. - Popatrz, zastanowiłam się nad tym i jedynym dobrym dla mnie rozwiązaniem będzie powrót do szkoły i ukończenie pracy dyplomowej.

W ten sposób każdy zachowa twarz i rozstaniemy się jak para przyjaciół.

Kiedy tak mówiła w pośpiechu o planach uzyskania stypendium i zapisaniu się na wykłady, Toby zastanawiał się, czy czasem nie jest to wołanie o kaftan bezpieczeństwa. To prawda, od małości był przyzwyczajony do niezyczliwych publikacji w prasie i nie mógł uwierzyć, że Heather naprawdę mogła dopuścić, by coś tak pełnego bzdur i niekonsekwencji, jak „Amerykański Plotkarz”, mogło stać między nimi. Zastanawiał się, czy przeraziła się tak bardzo na myśl o rodzicach i znajomych, oglądających ją w tak kompromitujących ujęciach.

Toby nigdy nie uważał, że jest zdolny zrozumieć skomplikowaną kobietą psychikę. Jego była żona żyła dla zdjęć w magazynach i

narzekała na niechęć Toby'ego do wydarzeń towarzyskich uwielbianych przez media. I bez względu na okoliczności wysoko ceniła sławę. Jak ją znał, była już zielona z zazdrości, że to nie jej fotografia znalazła się na okładce.

Toby doświadczył nieprzyjemnego déjà vu. W dzień, w którym Sheila powiedziała, że odchodzi, odczuwał w głębi ducha ulgę, bo udawane małżeństwo wreszcie dobiegło kresu. Jednak, kiedy usłyszał to samo od Heather, kompletnie nie wiedział, co zrobić. Pomyślał, że tylko czymś naprawdę wyjątkowym może ją skłonić do zmiany decyzji. Musiał ją przekonać, że takie głupstwa nie są w stanie zniszczyć prawdziwej miłości, a przecież właśnie taka miłość ich połączyła. Ani Heather nie była łowczynią fortun, ani on playboyem, do czego usilnie próbowała przekonać czytelników prasa.

Rozwiązanie przyszło na myśl Toby'emu z taką łatwością, że natychmiast zrozumiał, iż właśnie do tego zawsze tęsknił. Sposób, jak uśmierzyć stare lęki i podjąć nieśmiertelne zobowiązanie wobec ich miłości. Sposób na zachowanie dobrej reputacji Heather. Sposób na uszczęśliwienie jego syna. Sposób na wyznanie jego miłości całemu światu. Sposób na wyprostowanie wszystkiego.

Bez namysłu padł na kolana przed Heather i chwycił ją za dłonie. Wpatrywał się w jej oczy, jakby szukał w nich ostatecznej odpowiedzi.

- Panno Heather Burroughs - zaczął, wpadając w uroczysty ton. -  
Czy uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

---

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

---

Heather niedowierzająco patrzyła na Toby'ego. Na kolanach poprosił ją o rękę, a nawet nie powiedział, że ją kocha. Przychodził jej do głowy jeden powód tak nieoczekiwanej propozycji. Sądząc z jego reakcji na artykuł, nie chodziło o ratowania dobrego imienia rodziny, lecz o groźbę jej odejścia.

Wiedziała, że Dylan był dla Toby'ego najważniejszy. Uwielbiała w nim to, ale nie mogłaby przyjąć jego propozycji. Toby Danforth był przystojny, bogaty i świetnie ją rozumiał. Był dobrym przyjacielem, cudownym ojcem i jeszcze lepszym kochankiem. Jednak Heather chciała szanować samą siebie. Kochała Dylana, ale wiedziała, że to niewystarczający powód, by wyjść za jego ojca.

- Nie mogę zostać twoją żoną tylko dlatego, że potrzebujesz niani dla Dylana - odpowiedziała miękko.

Zdrętwiał jak rażony gromem. Zachwiał się i podniósł rękę. Delikatnie, wierzchem dłoni czule gładził jej policzek.

- Kochanie, skąd ten pomysł?

Twarz Heather przeszedł słodki dreszcz od jego dotknięcia. Musiała jednak myśleć rozsądnie.

- To świetny sposób na rozwiązanie problemu, czyż nie, Toby?

Skurcz goryczy ścisnął jego twarz.

- Myślałem, że tego chcesz. Po co rzuciłaś mi w twarz ten brukowiec, jeśli nie po to, bym poczuł się zobowiązany do uczynienia cię uczciwą kobietą w oczach świata?

Heather zeszywniała pod gradem oskarżeniem. Okropne słowa raniły ją, ale kiedy wszystko zostało wypowiedziane, nie miała wyboru. Toby czuł się manipulowany przez nią w ten sam sposób, jak ona, kiedy czuła, że on manipuluje nią, by uczynić swoje życie łatwiejszym. Postanowiła



sobie, że już nigdy nie pozwoli innym ludziom wykorzystywać jej życia do swoich celów. Wierzyła, że zasługuje na to, by być kochaną przede wszystkim jako kobieta, a nie tylko jako matka.

- To nie są te słowa, które dziewczyna chciałaby usłyszeć od mężczyzny - odrzekła głucho.

- Nigdy nie mówiłem, że jestem dobry w słowach. - Głos Toby'ego wibrował z rozżalenia. - I pewnie nawet gdybym znalazł właściwe, też byłyby dla ciebie podejrzane. Mam rację?

Heather powoli kiwnęła głową.

- Najprawdopodobniej.

Wstrząsnął nią nagły gniew Toby'ego, tak samo jak i to, że nie był zdolny wypowiedzieć trzech słów, które były fundamentem dobrego małżeństwa. Zastanawiała się, czy w ogóle je zna. Ale słyszała, jak przy wielu okazjach otwarcie wyznawał miłość synkowi, więc chyba nie chodziło o to. Toby po prostu jej nie kochał.

O, z pewnością była wystarczająco dobra, by być matką dla jego syna, wystarczająco dobra, by rozgrzewać jego łóżko nocą, a nawet do tego, by ożenił się z nią z rozsądku. Jednak w jego sercu nie było dla niej miejsca. I pewnie nigdy nie będzie. Właściwie to powinna mu podziękować za uczciwe postawienie sprawy, ale w tej chwili wszystko, na co było ją stać, to próbować nie rozpaść się w drobny mak w rozpacz.

Była kompletnie zdruzgotana.

- Przepraszam - powiedziała po prostu.

Jej odmowa była dla Toby'ego ciosem nie do zniesienia. Duma nie pozwoliła mu błagać. Żałował, że popsuł wszystko przez swoją niezdolność do wyrażenia tego, co dzieje się w jego sercu. Nigdy wcześniej nie prosił nikogo o rękę. Sheila sama wystrzeliła z tym pytaniem zaraz po tym, jak poinformowała go, że będzie miała z nim dziecko. Był uczciwy. Po prostu zrobił, czego oczekiwała, i postąpił słusznie. I choć jego krótkie małżeństwo dało mu niewiele szczęścia, to przyniosło mu też cudownego syna, więc niczego nie żałował. Lecz teraz nie zniósłby odejścia Heather. A co dopiero Dylan!

Z trudem podniósł się.

- Ja też przepraszam. Przepraszam, że nie znalazłem słów

odpowiednich dla ciebie. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że mój syn ma podobny problem.

Heather powstrzymała go i wskazała otwarte drzwi.

- Ale nie ma problemu ze słuchem.

Dylan stał tam, ściskając swój ulubiony kocyk i przyglądając się im ze zmartwieniem malującym się na twarzyczce. Choć nie mógł wypowiedzieć swych myśli, było jasne, co go trapi. Dwoje najważniejszych ludzi w jego życiu podnosi na siebie głos. Heather pośpieszyła w jego kierunku i schyliła się, ocierając ukradkiem łzę.

Wzięła chłopczyka na ręce i zaczęła uspokajać.

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie kłam dziecku - warknął Toby. - Jego matka powiedziała mu to samo, zanim odeszła.

Wyciągnął ręce do syna. Dylan spojrzał na Heather. Niezdolna wypowiedzieć ani słowa, po prostu kiwnęła głową i oddała go ojcu. Nie wiedziała, jak mogłaby zatrzymać Toby'ego i skłonić go, by porozmawiał z nią o wszystkim. Co mogłaby mu wyznać, by pokochał ją tak, jak ona pokochała jego?

- Chodź, synku. Wyjdźmy stąd, zanim powiem coś, czego będę żałował.

Drzwi trzasnęły za nimi z hukiem, od którego zatrzęsł się dom. Nagła cisza i przejmujące uczucie samotności były nie do wytrzymania. Heather skryła głowę w dłoniach i załkała bezgłośnie.

Minęła godzina bez najmniejszego znaku od dwóch najważniejszych ludzi w jej życiu. Pomyślała, że zostawili ją i pojechali do miasta. Wieczór rzucał długi cień na połyskujący fortepian.

Tylko w ten sposób mogła się wyrazić. Podeszła niepewnie do instrumentu. Miała nadzieję, że jej palce nie zapomniły.

Nie zapomniły. Ich zwinne ruchy wypowiedziały jej lęk. Melodia, którą grała w dogasającym świetle popołudnia, wyrażała głębię splątanych emocji. Dźwięki grzmiały pośród ścian. Za oknami wysokie góry oddzielały Heather od świata. Tego świata, który nigdy nie rozumiał serca kobiety.

Jak dobrze było pozwolić instrumentowi, by przemówił w jej imieniu. Schylona nad klawiaturą, tonęła w muzyce, która zdawała się

rozpuszczać jej ból.

Wtem pojawił się obok niej Dylan. Zakrwawiony i brudny, pociągnął ją za rękaw, chcąc zwrócić na siebie uwagę i starając się powiedzieć coś ogromnie ważnego.

- Co się stało? - spytała wyrwana ze stanu bliskiego transowi.

Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk..

Chwyciła go za ramiona.

- Proszę, Dylan, powiedz mi, co się stało! - wołała prosząco.

Chłopcu łzy stanęły w oczach. Zaciskając je mocno, skupił się i znowu otworzył usta:

- T-tat-tuś... u-u-padł...

Strach pochłonął ją całą. Chwyciła Dylana i pognęła do frontowych drzwi. Co dalej? Nie wiedziała

- Gdzie jest tatuś?

Chłopiec wskazał brudnym paluszkiem. Heather dostrzegła przewrócony traktor. Serce przestało jej bić. Sprintem puściła się przez świeżo zaorane pole z Dylanem na rękach. Szum w jej uszach zagłuszał wszystkie dźwięki, nawet jej rozpaczliwe wołanie imienia Toby'ego.

Toby zapewne chciał wyładować złość w pracy. Ile by dała, by móc cofnąć czas.

W traktorze, który wyglądał jak powalony dinozaur, wciąż pracował silnik. Koła kręciły się powietrzu bez celu. Zdała sobie sprawę, że nawet gdyby Toby mógł odpowiedzieć na jej wołania, i tak nic by nie usłyszał. Warkot silnika zagłuszał wszystko. Postawiła Dylana na ziemi i modliła się, by ukochany mężczyzna nie został przygnieciony tą gigantyczną górą żelastwa.

W oddali zabrzmiał grzmot. Heather okrążyła traktor i znalazła Toby'ego. Leżał bezwładnie obok maszyny. Jego krew znaczyła trawę i wsiąkała w grunt. Jedno ramię było wygięte pod dziwnym kątem do skrzyconego ciała. Upadł na świeżo zoraną ziemię, która szczęśliwie złagodziła uderzenie. Heather uklękła przy nim i z łkaniem przycisnęła ucho do jego serca.

Słaby dźwięk uderzeń wlał w nią wątłą nadzieję.

Telefon na pogotowie nie miał w tej sytuacji najmniejszego sensu. Zanim nadjechałby ambulans, Toby mógł się wykrwawić. Heather

spojrzała na gromadzące się burzowe chmury i rzuciła się pędem do zabudowań. Obiecała Dylanowi wrócić za minutę i kazała mu zostać przy ojcu. Chciała jak najszybciej zawieźć Toby'ego na pogotowie.

Bez tchu dopadła terenówki, w myślach dziękując za to, że Toby zostawił kluczyki w stacyjce. Wężę, niedźwiedzie grizzly oraz nieprzewidziane wypadki były w tej bezludnej krainie dużo bardziej prawdopodobne niż wizyta złodzieja. Jedyna zbrodnia, której lękała się Heather, to ta, że Toby umrze i nigdy się nie dowie, że ona go kocha.

Kilka bębniących kropel rozprysło się na masce, kiedy Heather uruchamiała silnik. W innych okolicznościach byłaby wdzięczna za deszcz. Teraz groził jej ugrzęźnięciem w błocie. Zaklinając niebiosa, ruszyła szybko w stronę miejsca wypadku, chcąc jak najszybciej dotrzeć do Toby'ego. Włączyła napęd na cztery koła i zapięła pas. Gdyby tego nie zrobiła, najpewniej rozbiłaby sobie głowę o dach. Rozpędzone auto z impetem podskakiwało na bruzdach ziemi.

Zapłakany Dylan klęczał obok bezwładnego ciała ojca. Heather podjechała tak blisko, jak tylko mogła. Nie miałyby wystarczająco dużo adrenaliny we krwi, by podnieść traktor przygniatający człowieka, ale wystarczyło jej, by wciągnąć dobrze zbudowanego mężczyznę do kabiny terenówki. Ciągnęła go za nogę, bojąc się o jego uszkodzone ramię. Próbowała robić to jak najdelikatniej i chyba cudem udało jej się umieścić go na siedzeniu pasażera.

Posadziła Dylana tuż obok siebie i nakazała mu oprzeć głowę ojca na kolanach. Rzadko padało w Wyomingu, ale kiedy już zdarzył się deszcz, przeradzał się zazwyczaj w ulewę rwących strumieni i rozmywał drogi. Gdyby tylko udało jej się zjechać z pola, zanim zamieni się w pułapkę z kleistej gliny. Koła buksowały. Liczyła się każda minuta, ale Heather nie miała zamiaru utknąć tu przez głupi pośpiech. Nacisnęła powoli gaz i ruszyła w kierunku drogi. Dzielilo ją od niej ogrodzenie z kolczastego drutu. Nie miała jak go wyminąć, więc skierowała się prosto na zaporę, która pękła z łoskotem.

Na żwirowej szosie mogła się już rozpędzić. W samą porę dotarli do drogi stanowej, bo rozszalał się grad; Lodowe kuleczki siekły dach, zostawiając w karoserii drobne wgłębienia. Biorąc pod uwagę fragment ogrodzenia z drutu kolczastego wplątany w zderzak, Heather nie miała

wątpliwości, że towarzystwo ubezpieczeniowe nie będzie chciało płacić za naprawę samochodu.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, uświadomiła sobie, że z telefonu stanowiącego standardowe wyposażenie samochodu może zawiadomić szpital o rychłym przybyciu. Włączyła światła awaryjne. Drogą była zalana strumieniami wody, więc Heather musiała uważać, by nie wpaść w poślizg. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby spowodować wypadek w drodze do szpitala.

Cały czas Dylan głaskał głowę ojca i mruzczał coś do jego ucha.

- Prawdziwy z ciebie bohater - pochwaliła go Heather, nie odrywając oczu od drogi.

W końcu też przeżył upadek z traktora, a to, że przemówił, by uratować ojca, graniczyło z cudem. Heather zawsze wierzyła, że gdy nadejdzie właściwy moment, chłopczyk zacznie mówić. Jeśli Toby będzie żył, obiecała sobie, że nigdy już nie pozwoli, by duma sprowadziła ją z drogi miłości.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię - powtarzała, potajemnie wierząc w sprawczą moc słów.

- Nie wygląda najlepiej. Możliwe, że amputacja będzie konieczna.

Pielęgniarka nie wiedziała, że Toby był przytomny. Nawet gdyby wiedziała, przysięgłaby, że po zastrzyku, który mu zaaplikowała, zapomni o wszystkim, co słyszał. Myliła się.

Jego syn go potrzebował, a on był typem wojownika. Dlatego Toby uchwycił się tych słów pośród mgły bólu, tak samo jak uchwycił się życia. Uporczywie i zawzięcie.

Kiedy oprzytomniał parę godzin później, był zaskoczony, widząc Heather śpiącą w niewygodnej pozycji na krześle przy jego łóżku. Jej jasne włosy rozsypały się i złotą falą opadały na ramię. Pod oczami miała sińce. Toby marzył, by wyciągnąć rękę i dotknąć jej delikatnej skóry, ale był zupełnie bez sił. To okropne mieć świadomość, że jeśli mieli jakąś szansę na wspólną przyszłość, to została ona utracona, tak samo jak jego ręka.

Zawinięty ciasno w koce i niezdolny do ruchu, nie wiedział, czy wciąż ma rękę. Słowa pielęgniarki rozbrzmiewały w jego głowie. Jeśli Heather nie chciała go przed wypadkiem, to teraz nie wyobrażał sobie

nawet, by zaakceptowała go jako kalekę, pozbawionego silnych ramion, którymi mógłby ją obejmować i chronić.

Jakby ta niezwykła kobieta, która uratowała go, potrzebowała jakiegokolwiek ochrony. O ile uważał, że nie było w porządku prosić ją o rękę ze względu na ich samotnicze życie i wymóg szczególnej troski o Dylana, to naprawdę nie mógł oczekiwać, że poświęci swoją młodość i energię dla inwalidy. Widok Heather w delikatnych promieniach przeświecających przez okna wzruszył go. Jej powieki uniosły się, odsłaniając parę gołębioszarych oczu, które napotkawszy jego spojrzenie, natychmiast rozbliły się czułością.

- Aleś ty piękna - jęknął.

Nie bardzo rozumiał, dlaczego, ale to wyznanie doprowadziło ją do łez. Okrywając go pocałunkami, powtarzała, jak bardzo się cieszy, że on żyje. Jednak Toby nie był pewny, czy powinien się cieszyć. Jeśli Heather odejdzie, jego życie nie będzie wiele warte. Miał tylko synka, dla którego musiał być i ojcem, i matką zarazem. No i na pewno rodzice oczekiwaliby, że wprowadzi się do nich, by mogli go pielęgnować jako inwalidę.

Heather założyła kosmyk włosów za ucho i odsunęła się o krok. Z powagą wpatrywała się w Toby'ego. W drodze do szpitala przeżyła objawienie i teraz była gotowa.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym przyjąć twoje oświadczenia.

Stojący koło łóżka monitor zarejestrował gwałtowny skok tętna.

- Myślisz, że wyjdzie ci to lepiej, co? - Głos Toby'ego, pomimo że wciąż słaby, był rozbawiony. Choć nie można tego było powiedzieć o jego oczach.

Heather uśmiechnęła się kącikiem ust i uklękła przy jego łóżku.

- Kocham cię.

Te słowa wypełniły go radością, do jakiej od dawna już tęsknił.

- Ciii - szeptał. - Nie musisz ...

- Nie uciszaj mnie. Podczas jazdy do szpitala doszłam do wniosku, że mnie potrzebujesz. Nie tylko Dylan, ale także ty. I wygląda na to, że ja też cię potrzebuję. Jestem gotowa zrobić wszystko dla naszego małżeństwa i przyjmując warunki, jakie uznasz za słuszne. Jeśli dasz mi

szansę, nauczę cię, jak mnie kochać.

Poczuł ścisk w gardle.

- Nauczysz mnie... kochać ciebie?

Jak na kobietę, która potrzebowała romantycznych oświadczeń, zabrzmiało to bardziej jak propozycja biznesowa niż miłosna. Nie przykładał do słów wielkiej wagi. Uważał, że człowieka sprawdza się po jego czynach. Dlatego nie wyobrażał sobie, że Heather mogłaby nie wiedzieć, jak wariacko jest w niej zakochany.

Czy to możliwe, by naprawdę wierzyła, że poprosił ją o rękę tylko ze względu na Dylana? Jak mogła podejrzewać, że zbuduje związek na całe życie na jakichkolwiek innych fundamentach niż prawdziwe uczucia?

Jakimż był idiotą! Kiedy odmówiła, zareagował jak obraźliwy nastolatek, zamiast dotrzeć do sedna sprawy. Siadanie za kierownicą traktora, kiedy był tak wściekły, też nie było zbyt mądre. Na szczęście Heather stworzona została ze szlachetniejszego kruszcu. Gdyby nie jej rozsądek, mógłby umrzeć. Jak miał jej teraz wytłumaczyć swoje uczucia? Zresztą było za późno.

- Moja ręka - zaczął.

- Co z nią?

Wyglądała na tak szczerze zaskoczoną, że Toby zapomniał o bólu.

- Nie oczekuję, że wyjdiesz za połowę faceta.

- Tobiaszu Danforcie! - zawołała Heather. - Nie wierzę, po prostu nie wierzę! Naprawdę myślisz, że jestem tak płytka i bardziej dbam o to, jak wyglądasz, niż o to, jakim jest człowiekiem?

Ona także słyszała szpitalne plotki o amputacji ręki, ale nie wierzyła w nie, dopóki nie usłyszała tego z ust lekarza. A nawet i wtedy rodzice Toby'ego, do których natychmiast zadzwoniła, zapewnili ją, że ściągną specjalistę, by skonsultował stan ich syna przed tak drastycznym krokiem. Harold i Miranda mieli lada moment przylecieć prywatnym odrzutowcem.

- Nie obchodzi mnie, czy masz jedną rękę, czy trzy. Kocham cię. Nie twoją rękę ani twój portfel czy nazwisko. Nie kocham też tego głupiego stereotypu silnego i milczącego kowboja, przez który straciłbyś życie, gdyby nie było mnie w pobliżu. Niewiele brakowało. Zrozum to, nic nie zmieni moich uczuć do ciebie. Nic. Kocham cię i kocham twojego syna.

To proste. Nie komplikujmy już tego.

- Ja też cię kocham.

Widząc łzy spływające po jej policzkach, Toby pluł sobie w brodę, że nie wypowiedział tych słów dawno temu. Dzięki nim poczuł się człowiekiem spełnionym.

Nawet jeśli nim nie był.

Nieważne, czego chciał dla siebie. Nie mógł pozwolić tak młodej i pełnej życia kobiecie poświęcić swojego życia dla małżeństwa z mężczyzną, któremu co rano trzeba będzie pomóc się ubrać. Pewnego razu Heather wytknęła mu, że nawet w swoje dobre dni nie jest za słodki w sposobie bycia. Wyobrażał sobie, jakim dzikim zwierzęciem się stanie przez swoje kalectwo. Nie. Nie może przyjąć jej deklaracji, kiedy przepelnia ją poczucie winy z powodu wypadku.

I znów próbował tłumaczyć.

- Kocham cię i poprosiłbym cię, żebyś za mnie wyszła, ale moja ręka.

- Jest pełna gwoździ, więc przez jakiś czas nie będziesz mógł jej używać. Ale nie martw się. Mały zabieg i długa rehabilitacja, i odzyskasz pełną, władzę na jesienne pokazy.

Lekarz, który wszedł do pokoju, był młody i arogancki. Fakt, że miał kowbojki i przyniósł szokujące nowiny, tłumaczył częściowo jego niechlujne maniere. Toby zamknął oczy i wypuścił z płuc powietrze razem ze zgromadzonym tam strachem, podczas gdy chirurg przedstawiał im swoje prognozy:

- Miałeś też poważny wstrząs mózgu, co zapewne tłumaczy, dlaczego, wchodząc tu, słyszałem coś o małżeństwie. Toby Danforth, którego znałem, ślubował, że nigdy już się nie ożeni i kazał mi obiecać, że wleję mu trochę oleju do głowy, jeśli tylko kiedyś wspomni coś podobnego.

Toby uśmiechnął się promiennie.

- To nie będzie konieczne. W niezbyt przyjemny sposób sam wlałem sobie oleju do tego pustego baniaka. - Przeniósł spojrzenie z doktora i całą swoją uwagę skupił się na Heather. - Tak jak mówiłem, kocham cię. I chcę, byś za mnie wyszła. I mam ku temu wszystkie właściwe powody.

Rumieniec na twarzy Heather usunął ślady jakichkolwiek



wątpliwości. Niepotrzebne jej były róże, egzotyczne otoczenie i romantyczna muzyka w tle. Chciała tylko usłyszeć właściwe słowa. Dziękowała Bogu, że Toby je znalazł, póki jeszcze nie było za późno, by odmieniły jego życie. Ale przyszłość niosła tyle obietnic, że nie było powodu roztrząsać pomyłek przeszłości.

- Będę zaszczycona, zostając twoją żoną. Żadnego trzepotania rzęsami ani cienia południowej pretensjonalności w głosie. Tylko radosna zgoda. I blask namiętności w oczach.

Doktor Cameron odchrząknął. Był nieco zazdrosny.

- Uścisnąłbym ci rękę, gdyby nie była rozwalona. Zostawię was, gołąbki, a wy ustalajcie szczegóły, dobrze? - Czuł się niezbyt wygodnie, asystując przy tak intymnych wyznaniach.

- Lada dzień może się pan spodziewać zaproszenia, doktorze - poinformował go Toby.

- Nigdy nie przegapiłbym takiej okazji. - I wyszedł, obiecując wrócić z Dylanem.

Serce Toby'ego puchło z dumy, kiedy patrzył na swoją przyszłą żonę. Poruszony jej odwagą i urodą, nie mógł się powstrzymać, by nie spytać:

- Jesteś pewna, że to nie ty miałaś wstrząs mózgu?

- Tak jak tego, że bezwzględnie wykorzystam fakt, że jesteś spowity w prześcieradła i bezbronny wobec moich zalotów.

Heather pocałowała go czule, jakby bojąc się zrobić mu krzywdę.

Do pokoju wszedł Dylan.

Musiała powstrzymać chłopca przed wdrapaniem się na łóżko, by nie uraził świeżych ran ojca.

Zamiast tego stał przy łóżku niemożliwie dumny.

- Dobrze zrobiłem, prawda, tato? - pytał z promiennym uśmiechem.

Toby wytrzeszczył oczy niedowierzaniem. Spojrzał na Heather, upewniając się, że nie śni. Jej dłoń mierzwiła włosy chłopczyka. Skinęła głową.

- Twój syn uratował ci życie. To on mnie znalazł i powiedział, co się stało i gdzie mam cię szukać.

- Powiedział ci? - powtórzył Toby. Czy to możliwe, że jednego dnia zdarzyły się aż dwa cudy?

- I, jak mówią pielęgniarki, przechwalał się przed wszystkimi w

szpitalu, jaki z niego bohater.

Minęła chwila, zanim jej słowa złagodziły rysy twarzy Toby'ego. A po chwili, gdy już w pełni wszystko do niego dotarło, prawie wyskoczył z pościeli. Heather, żeby go powstrzymać, posadziła Dylana na krawędzi łóżka, by we troje mogli się objąć. Ten radosny uścisk przypieczętował początek ich wspólnego rodzinnego życia.

Scandalous